

Marzec '68 na polonistyce UMCS

str. 4-5

M. Gorbaczowa
nowe myślenie
o świecie

str. 3

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

Rozmowa
z Janem
Koprowskim

str. 6

NR 6 (904)

20 marca 1988

Cena 35 zł

Prawda nie zaszkodzi socjalizmowi

Rozmowa z Iliją Marinkovićem - korespondentem
belgradzkiej „Politiki” w Warszawie

— Proszę pana, wiele mówi się ostatnio o cywilizacyjnych zagrożeniach, o kryzysie współczesnej świadomości...

— Proponuję, byśmy zostawili na boku wszelkie teorie uniwersalistyczne. Świat posiada na pewno kilku wspólnych wrogów, ale mała z nimi dość kłopotu naukowcy. Dla mnie najciekawszym zagadnieniem naszego czasu i to nie tylko dlatego, że pochodzi z kraju socjalistycznego, jest pytanie, co w najbliższej przyszłości stanie się z socjalizmem. Uważam, że pod koniec tego stulecia decydują się właśnie losy naszego systemu. (Ludzie na Zachodzie są także świadomi tego faktu, choć może mniej skłonni tak bezpośrednio go wyrażać). Od rozwiązania owego problemu zależy wiele z tego, co przydarzy się w wieku XXI. Zga-

dzam się przy tym z profesorem Schaffem, że partie komunistyczne są obecnie nieco zbyt zajęte problemami mającymi swe źródło w praktyce dnia codziennego. Zapominają natomiast o potrzebie stałego określania miejsca socjalizmu we wciąż zmieniającej się rzeczywistości świata; o odnoszeniu go do nowych zjawisk cywilizacyjnych — rozwoju techniki, eksplozji nowoczesnych technologii.

Dowodów na słuszność takiego stwierdzenia dostarczają choćby obrady ostatnich zjazdów partii komunistycznych. Często padały na nich postulaty o konieczności dotrzymywania kroku w technologicznym postępie świata, ale kończyły się to wszystko najczęściej na werbalnych deklaracjach. Nie przeczy-

Dokończenie na str. 8—9



Tomek Kawiak obok swojej rzeźby „Przód i tył Republiki”.
Artykuł na str. 4—5.

Zofia Luchowska-Kuna

DLA KOGO LUBLIN NOCĄ

Urzuł i Krzyżkowi G. oraz Grzeškowi P.

Nochy Lublin
błoto przy Narutowicza
przy Krakowskim też
świecimy głodnymi oczami
bo lampy skąpo
i fosforycznie
wycieczka grubasów z Wrocławia
ważniejsza w „Powszechnej”
od nas przygodnych mieszkańców
tego miasta
„Malańki” za malańki Ktoś
kogoś obraża Nazyma alfonsem
Szefowej zakładu na szczęście
nie ma Golonki też Gość wódkę
wylewa na kłapy starej
jesionki
To miasto nas nie
chce

plisze na nas
i listopadowe błoto
rzuca
pod nogi
ale my nie zrażeni
wlecziemy się dalej
Tylko jeden z naszej paczki
odchodził w noc gniewnie rzucając
na Pożegnanie że dateno już wyzdrowiał
A my z człapiącym pegazem błądzimy
w mieście gdzie możliwość wejścia
do „Europy” w przedandrzejkowy wieczór
elegancki cieć szacuje dla nas
czterech bożych polamańców
tylko na dziesięć zielonych

(zamiast reportażu)

JESZCZE RAZ

trzeba się pozbiierać
posklejać
położyć starannie makijaż
na twarz
ciós był poniżej

uśmiech można sobie
przyszyć
a serce nowe kupić
w najbliższym butikku

* * *
W. S.

nie ma już dziesiąt
gorączkowych balów

koafiur
fraków

olśnienia serc lampionów
od zakazanych darsw

do bladego świtu
i trudno
świat się nie zmienia

tylko my

przyjaciela fotoreportera

z notatnika

3 III. Bardzo estetycznie jest wydany „Zamojski Kwartalnik Kulturalny” pod redakcją Mirosława Bogiela (Wydawca: Wojewódzki Dom Kultury). Chciałem pochwalić również drukarnię, ale... 2/12 numer ujrzał światło dzienne w Zakładzie nr 8 Lubelskich Zakładów Graficznych w Tomaszowie Lubelskim, natomiast numer 1/11 w ZPPL. Darujcie, kochani, ale owe cztery litery nie mi nie mówią. Jak wiem, barwne okładki przygotowuje się w Lublinie, szkoda, że ostatnia strona właściwie nie jest wykorzystana. Ale to drobiazgi, ważna sama treść „Kwartalnika”. Do czytania tu sporo, redakcja chce przybliżyć zarówno czas przeszły jak i teraźniejszy Ziemi Zamojskiej i, trzeba przyznać, że to się jej udaje. Numerów nie będę omawiał, bo te, które do moich rąk trafiły, nie są zapewne najnowsze, ale polecam się laskawej pamięci na przyszłość.

Gdy o Zamościu mowa... Dopisuję 13 marca, po ostatniej sesji Sejmu, gdzie m. in. mówiono i o białych plamach w naszej historii. O białych plamach na Zamojszczyźnie wypowiada się na łamach 11 nr-u „Tygodnika Zamojskiego” dr hab. Jerzy Markiewicz. Oto istotny, moim zdaniem, fragment wywiadu: „Cały czas mówimy o niedoświadczaniu, skrzywdzeniu żołnierzy Armii Krajowej. A co mają powiedzieć partyzanci Armii Ludowej, skoro wszyscy dowódcy i oficerowie, łącznie z Grzegorzem Korczyńskim, byli aresztowani i mieli procesy polityczne? W latach 1950—1951 dokładnie wyszyscy. A przecież ci ludzie walczyli o Polskę ludową, socjalistyczną. Nic na ten temat się nie mówi. Mało tego, oni byli torturowani, że włos jeży się na głowie. I mają żal, że innych rehabilitowano, a im tylko sąd umorzył postępowanie. Coś to nie tak! Dlatego też twierdzenie o tragedii żołnierzy Armii Krajowej to jest jedna wielka plama, ale jest i wielka, biała plama dotycząca żołnierzy Armii Ludowej, członków Polskiej Partii Robotniczej. Mówię o tym, bo poważna część działań GL i AL objęła Zamojszczyznę. Dzisiaj się mówi, że błąd polityczny. Ładny mi błąd, jak ktoś siedział w kryminalu i czekał na karę śmierci czy dożywocia...”

12 III. Propaganda wizualna... Wiele krytycznych uwag na ten temat wypowiedział ostatnio Leonid Pociwałow na łamach dziennika „Prawda”. Przypomniał on, jak to ćwierć wieku temu szedł z kolegami paskudną drogą w Karpatach. Nigdzie nie było żadnych drogowych znaków, był kłopot z ustaleniem trasy wycieczki. Nagle pojawiła się wielka tarcza na postumencie. Na niej napis: „Naprzód do zwycięstwa komunizmu!”. Przewodnik powiedział: „Coś takiego mógł wymyślić tylko głupiec”.

„Niekiedy uważają — stwierdza autor — że im więcej postawi się tam, gdzie trzeba i nie potrzeba, różnego rodzaju transparentów, hasel i portretów, tym łatwiej się będzie można wykazać przed zwierzchnością. [...] Pewnego razu np. w obwodzie rostowskim zaproszono mnie do zakładu, który wyróżniał się wśród innych stosowanymi formami agitacji wizualnej. Podwórce fabryki było przekształcone w rodzaj wystawy. Były gablyoty, tablice honorowe, powiewały flagi. I jak tu pracować, kiedy tak miło jest patrzeć i obserwować dzieła sztuki agitacyjnej! Co ciekawe: w sąsiedztwie, na tym samym dziedzińcu fabrycznym, wałaly się skrzynie z wyrobami zakładów, towarami, które ze względu na złą jakość nie miały zbytu...”

„Gdzie stawiać — zapytuje dalej L. Pociwałow — hasła, wezwania i portrety? [...] Minionej jesieni miałem okazję być w Picundzie. Droga do tego popularnego kurortu zastawiona była olbrzymimi planszami i hasłami wywającymi do tego, aby umacniać, zwiększać, rozszerzać i walczyć. [...] Czy w ogóle potrzebne są podobne apele w strefie uzdrowiskowej, dokąd przyjeżdżają ludzie na trzy tygodnie, aby odpocząć od codziennych trosk związanych z pracą? [...] W domu czasowym we wsi Gulipszi niedawno plaży widziałem kiedyś olbrzymi portret Lenina. Od słońca i niepogody był on już wyblakły i spłowiały. Przed nim przechadzały się w kostiumach kąpielowych na wpół obnażeni lub prawie całkowicie obnażeni wczasowicze. Pod portretem widniał napis: „Lenin zawsze z nami...”

Pamięć o wodzu wymaga szczególnie troskliwego podejścia i naród nie wybaczylem lekkomyślnego jej traktowania. [...] Z portretami w ogóle należałoby obchodzić się ze szczególną ostrożnością.”

„W pierwszych latach władzy radzieckiej — kontynuuje autor swe rozważania — triumfowało romantyczne dążenie do upolitycznienia całego naszego życia. „Odżegnaliśmy się od starego świata, strząśniliśmy jego proch z naszych nóg!”. No i odżegnaliśmy się od wielu rzeczy, kształtując model życia w inny sposób. I byli: jeśli proletariuszka, to w czerwonej chustce, jeśli nowa rasa koni, to musiała być bu-dionnowska, jeśli strzelec, to worosy-łowski, jeśli nowa fabryka, to „Krasnyj Trud”, jeśli restauracja to „Radziecka”, jeśli wódka, to „Stolicznaja” [...] Święte dla nas nazwy i pojęcia niemądre głowy często włączyły do powszechnego użytku, gasząc ich ideową iskrę. Pewnego razu mogłem usłyszeć w sklepie: — Proszę mi zważyć sto gramów „Czapajewa”. Bo były przecież i nas w swoim czasie cukierki, którego nazwano... „Czapajew”.

[...] Do dziś nie straciłmy ochoty na to, aby z nadzwyczajną lekkością pozbawiać miasta i ulice poprzecznych, wiekami utrwalonych nazw. [...] Niedawno zdarzyło mi się przebywać w podmoskiewskim osiedlu Golcyno. Przedzieralem się nie uporządkowaną, brudną ulicą, wzdłuż krzywych i nie pomalowanych parkanów, zaniedbanych podwórek, na której końcu znajdował się bazar z tandetą i starzyzną. Ulica ta nazywała się... „Komunistyczny prospekt”. Oto i ona — cała ta propaganda wizualna na tabliczkach przybitych do ścian zmurszałych domów. Tylko do czego ona agituje?”

„Wszyscy wiedzą — kończy L. Pociwałow — jak mało zachwycą nas nasze rolnictwo. [...] Kiedyś w rejonowej gazecie na Kubaniu przeczytałem: „Kolchoz „Awangarda Komunizmu” wlecieć się w ogień”. Z kolei w sibe-ryjskim miasteczku widziałem niedużą uliczkę o wdzięcznej nazwie „Komsomolski ślepy zaułek”. Oto do czego prowadzi nasz pociąg do hasel! Nawet ślepymi uliczkami gotowi jesteśmy maszerować w rytm triumfalnych bęb-
nów...”

Trzeba bezstronnie przyznać, a przecież te czy tamte kraje się widziało, że na tle innych nasza rodzima propaganda wizualna już tak koszmarna nie jest, ale mimo to można by pójść tropem dziennikarza z „Prawdy” i pokazać przykłady z własnego podwórka, kiedy to też hasła nawołują, aby „umacniać, zwiększać, rozszerzać i walczyć”. Dodam, że przygotowanie owych hasel, o czym L. Pociwałow

nie wspomina, co nieco energię pochłania a przy okazji i pieniądze.

Mysleć, towarzysze i obywatele! 13 III. Wróciłem właśnie z Chełma, gdzie uczestniczyłem w V Ogólnopolskich Spotkaniach Kabaretów Wiejskich. Organizatorzy: Ruch Społeczno-Kulturalny ZMW „Scena Ludowa”, Wojewódzki Dom Kultury i Zarząd Wojewódzki ZMW w Chełmie. Na zaproszeniu widniał jeszcze jeden organizator: Ośrodek Kultury Wsi ZMW „Scena Ludowa” w Krakowie, lecz na przygotowanej dla dziennikarzy informacji skreślono go czarnym flamastrem. Zauważyłem to później, więc nie znam szczegółów owej „banicji”, ale to chyba nie ma większego znaczenia...

Wstyd się przyznać, że dotychczas oglądałem tylko jeden kabaret wiejski — „Rzep” z Krzeszowa, który po śmierci Józefa Małki, twórcy większości tekstów, chyba podupadł, ostatni raz występował na I Ogólnopolskich Spotkaniach w Zawoi, gdzie zresztą nie odniósł większych sukcesów.

Teraz w chełmskim WDK-u wystąpiło 12 kabaretów spośród 39, które uczestniczyły w przegładach eliminacyjnych (Skawina, Poznań, Biskupiec). Wymieniam je w kolejności:

„Remanent” z Olsztyńskiego, działający pod patronatem Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Dywitach i Nadleśnictwa w Nowych Rumakach;

Zespół satyryczny z Bukówca Gór-
nego (woj. leszczyńskiego), któremu patronuje miejscowe koło ZMW;

„Uhaka” z Zespołu Szkół Rolniczych w Słupii (woj. kaliskie);

„Starszych panien” patronat Gminy Ośrodek Kultury w Borkach z siedzibą w Woli Osowińskiej (woj. siedleckie);

„Tiut” z Zespołu Szkół Rolniczych w Plotach (woj. szczytyński);

„Ządło” z Biskupieckiego Domu Kultury (woj. olsztyński);

„Szu” z Albogowej (woj. rzeszowski), działający przy Ośrodku Kultury Gminy Łańcut;

„Jagodziarze” z Lipnicy Murowanej (woj. nowosądeckie), patronat: miejscowy Gminny Dom Kultury;

„Teks” z Sadowa (woj. koszaliński), patronat: ZMW;

„Kociuba” z Sycowa (woj. kaliskie), patronat: miejscowa Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska”;

„Kant” z Klubu Prasy i Książki w Kaliskach (woj. gdański), patronat: RSW „P—K—R” w Starogardzie Gdańskim;

„Ortalion 80” z Lidzbarka Warmińskiego (woj. olsztyński), patronat: Państwowe Przedsiębiorstwo Gospodarki Rolnej w Lidzbarku.

Jak widać z tej wycieczki, trzy kabarety pochodzą z woj. olsztyńskiego, dwa z kaliskiego, a pozostałe, po jednym, z województw: siedleckiego, szczytyńskiego, nowosądeckiego, koszalińskiego, gdańskiego, leszczyńskiego i rzeszowskiego. Nie ma ani jednego kabaretu z czterech wschodnich województw „starej Lubelszczyzny”, a z najbliższych sąsiadów reprezentowane jest tylko woj. siedleckie. Trochę to musi dziwić, bo właśnie w Lublinie jest siedziba Zarządu Głównego Stowarzyszenia Twórców Ludowych. No, ale może Stowarzyszenie zajmuje się sztuką poważniejszą, innym pozostawiając różne śmiechy — chichy...

Henryk Cyganik w dostarczonej przez organizatorów przedstawicielom prasy informacji pisze, że kabaret na wsi stanowi idealną formę do uprawiania jednocześnie sztuki, polityki i życia towarzyskiego. Autor doszukuje się pokrewieństwa kabaretów z dawnym teatrem plebejskim, ludowym, mówi o tym (kabaret), co tu i teraz, w najbliższym środowisku, w regionie, w Polsce. Mówi krytycznie, z do-

brą wołą naprawy stosunków w środowisku, naprawy Rzeczypospolitej, posługując się śmiechem, dewicerną satyrą, takimi atrakcyjnymi wypowiedziami scenicznymi, jak piosenka, skecz, monolog, scenka rodzajowa. „Dobrze — stwierdza H. Cyganik — gdy aktor jest amatorem, ponieważ ten typ teatru bardzo nie lubi tzw. przedstawienia, tworzenia jakiejś iluzji teatralnej. Tu aktor wychodząc na scenę najczęściej zachowuje się tak samo jak w życiu, jest sobą. I mówi o tym, co go najbardziej boli, wkurza, denerwuje...”

Zgoda, ale ów aktor-amator zanim wystąpi na scenie, musi mieć odpowiedni tekst, a kiedy piszą go na przykład sami członkowie zespołu, efekty mogą być różne. Stąd taki kontrast między chociażby kabaretem „Remanent” a „Ortalionem 80” korzystającym m. in. z tekstów K. Daukszewicza i W. Katarzyńskiego. Rzecz zrozumiała, że kabaret wiejski musi szczególnie wnikliwie dobrać teksty pilnie bacząc, czy będą one pasować do miejscowego środowiska. Tak np. kabaret „Uhaka” z Zespołu Szkół Rolniczych w Słupii, kierowany przez Andrzeja Ządłę, będącego jednocześnie kierownikiem artystycznym i autorem muzyki, wykorzystujący teksty Tomasza Adamca Piotra Kruka, bardziej przypomina kabaret studencki niż wiejski. Jury, obradujące pod przewodnictwem Bogdana Smolenia, przyznało mu wyróżnienie za piosenkę.

Grand Prix V Spotkań otrzymał kabaret „Kociuba”, a dwie kolejne nagrody przyznano kabaretom „Ortalion 80” i „Tiut” i ten werdykt chyba trudno podważyć. Ucieszyłem się, kiedy jury za indywidualność artystyczną V Spotkań uznało Zofię Sobecką, twórczynię Zespołu Satyrycznego z Bukówca Górnego, a sam zespół otrzymał nagrodę za najlepszy debiut. Zespół powstał w lipcu ub. r. a prezentowane „Wiejskie kariery” to jego pierwszy program! (Druga indywidualność Spotkań — Grzegorz Bugaj z „Tiuta”).

Zofia Sobeca ma lat 26, ukończyła studia wyższe i obecnie jest etatową pracowniczką ZW ZMW w Lesznie. Na stałe mieszka jednak w rodzinnej wsi („Bukowiec Górny, no nie — mówię — a wszyscy poprawiają nazwę naszej wsi na Bukowiec Górny, no nie...”) i tu prowadzi zespół. „Przyjęłam dość dwadzieścia, no nie, osób myślałam, że zespół się, no nie, wykruszy, ale zespół się trzyma, tylko jedna osoba odeszła, no nie...”

Zofia to prawdziwa vis comica, a szkoda, że nie kształciła się ona w zawodzie aktorskim. Sądzę, że w telewizyjnych „kawałkach satyrycznych” dawałaby sobie lepiej radę niż „Genowefa Pigwa”, zwłaszcza, że nie musiałaby zmieniać... płci. Polecam ją fachowcom od masowej rozrywki z nadzieją, że jej nie zmanierują. A swoją drogą telewizja bardziej by mogła owe wiejskie kabarety spopularyzować nie tylko z okazji samych Spotkań. Pod warunkiem odpowiedniej selekcji, bo taki np. temat, jak reforma gospodarcza został wyeksploatowany do wyczerpania. A gdyby było aż tak dramatycznie, kto — zapytam żartobliwie — sfinansowałby Spotkania? Skąd ZMW ma pieniądze? No?

Tyle uwag na gorąco. Plus ta, że uczestnicy Spotkań nie są zbytnio obojętymi mikrofonami. Głowa pękała, kiedy śpiewali chociażby „starsze panny”, np. ale zwykle ich głosy nie są przecież nagłośniane, stąd ganić ich nie należy...

M. A. Jaworski

PS. Idę, szanowni, wierni czytelnicy mego „notatnika” na urlop, ale myślę, że red. M. Podgórski, zadba, by druga strona „Kamena” była jeszcze bardziej atrakcyjna...

A po urlopie — zobaczymy...

KRONIKA KULTURALNA

W Urzędzie Rady Ministrów w Warszawie podpisano akt ustanowienia Fundacji Akademii Zamojskiej. Kształtowanie postaw patriotycznych w oparciu o wartości tradycji narodowej, odbudowa gmachu uczenia powołanej przez Jana Zamojskiego — oto cele główne Fundacji, która na swoim koncie posiada już ponad 21 mln zł. (Kilka dni później Cygański Teatr Muzyczny „Terno” wystąpił w mieście Mozarda z widowiskiem „Cygańskie wesela”).

podczas którego przekazał pół miliona zł na odnowę zabytków Zamościa).

Z okazji 1000-lecia Chrzemu Rusi, które przypada w tym roku, na KUL-u odbyło się trzydniowe (8—10 marca) sympozjum „Teologia i kultura chrześcijańska dawnej Rusi z perspektywy minionych wieków”. W sympozjum uczestniczyła m.in. delegacja Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego z Biskupem Anatolijem z Moskwy.

10 marca w lubelskim BWA przy ul. Narutowicza 4 otwarto, w obecności artysty, dużą wystawę fotografii Edwarda Hartwiga, prezentującą wyjątkowej urody pejzaże, a także portrety (m.in. Wł. J. Ziolkowski), sceny rodzajowe i kompozycje spełniające się głównie w wyrafinowanej grze formalnej.

W Filharmonii Lubelskiej wystąpił słynny akordeonista czeski, Tibor Hacz, laureat wielu międzynarodowych konkursów muzycznych.

Fatalny stan techniczny budynku spowodował zamknięcie Państwowej Szkoły Muzycznej im. Tadeusza Rejtowskiego przy Krakowskim Przedmieściu 55 w Lublinie.

W Galerii Sceny Plastycznej KUL-czynna jest (do kwietnia) niewielka wystawa malarstwa Jerzego Nowosielskiego. Tylko niektóre obrazy mogą budzić zainteresowanie widza.

Po zimowej przerwie pałacowe muzeum w Kozłowie znów przyjmuje publiczność. Dowiadujemy się, że instytucja zamierza utworzyć stałą galerię sztuki realizmu socjalistycznego.

Od 13 do 17 marca trwały na Lubelszczyźnie „Dni przyjaźni młodzieży polskiej i rumuńskiej”. Były wystawy, koncerty, spotkania i seminarium z udziałem delegacji rumuńskiej. Imprezę przygotowała Komisja Współdziałania Socjalistycznych Związków Młodzieży.

Sporządzone wedle wzorów aprobawanych niedawno szczególnie przez średnią młodzież mieszczańską, cieszące się dużą sympatią masowej widowni — kobiece portrety spod pędzla Piotra Redarskiego pokazano w Lubelskim Domu Kultury, oczywiście z okazji Dnia Kobiet.

Ukazał się podwójny (nr 5—6 z lat 1984—85) „Rocznik Polonijny”, którego edy-

torem jest Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe. Tom liczy 376 stron, kosztuje 300 zł (jak na dzisiejsze ceny, niewiele), zawiera interesujące artykuły i materiały, nadto — recenzje i kronikę. W spisie treści znajdujemy m.in. publikacje poświęcone Polonii w USA, Austrii, Czechosłowacji, ZSRR i na Węgrzech. Polecamy.

Warszawski klub studencki „Riviera — Remont”, stoleczna galeria ZPAF, wrocławska „Dessa” to miejsca, gdzie była lub w najbliższym czasie będzie ekspozycja twórczości grupy fotograficznej „19a”, która powstała dwa lata temu i działa pod opieką artystyczną Ireny Jatoskiej. Jedynym z członków grupy jest Przemysław Ostrowski, nasz stały współpracownik.

Wydawnictwo Lubelskie opublikowało bardzo interesującą książkę Kazimiera Dynala „Skąd ten blask, profesorze Sedlak?”, utrzymana w różnych konwencjach literackich, od reportażu pożartowalnego. Polecamy.

W Muzeum Regionalnym Tomaszowa Lubelskiego czynna była wystawa pejzaży, namalowanych przez zamojskiego artystę Marka Rzeźbiaka.

POD koniec ubiegłego roku w księgarniach Stanów Zjednoczonych ukazała się nowa praca Michaiła Gorbaczowa, napisana na zamówienie tamtejszych wydawców. Przed jesennym spotkaniem „na szczycie” mogłem obserwować poważne zainteresowanie tą pracą zarówno ze strony amerykańskich politologów, jak i zwykłych czytelników. Nowe myślenie przywódcy ZSRR niewątpliwie robi karierę nie tylko w jego kraju, ale także i w wielu innych, gdzie prace te opublikowano. W Stanach Zjednoczonych przejawia się to na przykład w trakcie toczącej się właśnie kampanii prezydenckiej — kandydaci wciąż muszą odpowiadać na pytania, jak poradzą sobie w czasie przyszłych rokowań z M. Gorbaczowem, co zaproponują w odpowiedzi na jego nowe koncepcje, a G. Hart wprost nawołuje do głosowania właśnie na niego, bowiem jest „amerykańskim Gorbaczowem” i jedynym kompetentnym politykiem, który może skutecznie i w sposób twórczy konkurować z dynamicznym przywódcą Związku Radzieckiego.

Książka M. Gorbaczowa ukazała się niedawno także i w Polsce, co może stać się okazją do zastanowienia się nad jej bogatą i kontrowersyjną treścią. Wydaje się, że istnieje tu kilka specyficznie polskich przyczyn uzasadniających te tezy: takich, jak koncentrowanie się społeczeństwa polskiego na problemach wewnętrznych i zapominanie o wpływie sfery stosunków międzynarodowych na możliwości rozwiązywania spraw Polski, czy koncentrowanie się uwagi polskiej opinii społecznej na przeszłości. Praca M. Gorbaczowa jest natomiast zwrócona w przyszłość, autor proponuje w niej nie tylko rewolucyjne zmiany w stosunkach wewnętrznych swego państwa, ale także przebudowę całej sfery stosunków międzynarodowych.

Przebudowa jest rozpatrywana nie jako zachcianka poszczególnych przywódców, ale jako nagła konieczność, wynikająca z warunków tworzonych przez rewolucję naukowo-techniczną. Przebudowa wewnętrznych stosunków w ZSRR polegać ma na przewyżczeniu zastoi gospodarczego i społecznego, likwidowaniu mechanizmów, które gospodarkę hamują, wykorzystywaniu twórczej inicjatywy, wszechstronnej intensyfikacji gospodarki, dokonaniu zwrotu w kierunku nauki, rozwijaniu sfery socjalnej i lepszemu zaspokajaniu potrzeb obywateli, uwalnianiu społeczeństwa od wypaczeń moralności socjalistycznej i łączeniu socjalizmu z demokracją.

Taka „rewolucja odgórna” wspierana „oddolnie” ma w sposób istotny zmienić podstawowe cechy społeczeństwa socjalistycznego w ZSRR. Przebudowa to nie tylko tworzenie nowej rzeczywistości, ale także i „radikalne burzenie istniejących przeszkód w rozwoju społeczno-gospodarczym, przestarzałych sposobów zarządzania gospodarką, dogmatycznych stereotypów w myśleniu”. Ten ambitny plan przekształceń ma doprowadzić do uniknięcia najważniejszych błędów politycznych, za które M. Gorbaczow niezwykle zasadnie uważa „niedecyzje”, czyli decyzje polityczne w swej treści polegające na zaniechaniu jakiegokolwiek działania. Pisze: „błąd najpoważniejszy to obawa przed popełnieniem błędu, zatrzymanie się i nierobienie niczego”. Ta choroba decyzyjna spowodowała wiele kłopotów. Można dodać, że zjawisko to, wynikające na ogół z biurokratycznej inercji, występuje z różną siłą we wszystkich państwach i jest plagą systemów politycznych końca dwudziestego wieku, występująca niestety, także i w Polsce.

Program wewnętrznej przebudowy Związku Radzieckiego został sformułowany w sposób szokująco odmienny w stosunku do wszystkiego, co proponowano dotychczas. Zamiast adaptowania się państwa do chwałebnej przeszłości, czy w ujęciu realistycznym do prostych, bieżących, konkretnych zmian politycznych, M. Gorbaczow proponuje odwrócić wysiłki mających na celu adaptowanie się ZSRR do przyszłości do nowych powstających realiów, do nowego stanu sił wytwórczych.

Na Zachodzie program „pierestrojki” jest przyjmowany z ogromnym zainteresowaniem i niedowierzaniem. Bardzo prymitywne stereotypy na temat ZSRR utrudniają precyzyjną ocenę zachodzących wydarzeń, a obok polityków uznających program M. Gorbaczowa za korzystny dla całego świata są i tacy, którzy obawiają się go, widząc w nim potencjalny wzrost „radzieckiego zagrożenia”. Radziecki przywódca odpowiada — realizacja naszych planów odnowy nie stanowi zagrożenia ani dla narodu amerykańskiego, ani żadnego innego, może ona być jedynie przykładem, jeśli dla kogoś okaże się możliwa do przyjęcia.

Jednakże, stwierdza M. Gorbaczow, „stałe przydaje się nam zamiar wprowadzenia komunizmu na całym świecie. To jakaś bzdura!”. Tymczasem nie ma i nie było radzieckich oświadczeń na temat „zaprowadzenia panowania komunistycznego”. Lenin powiedział, że ZSRR będzie wywierał wpływ na rozwój światowy głównie poprzez sukcesy w działalności gospodarczej Kraju Rad.

Tym samym przechodzimy do drugiego zasadniczego wątku książki M. Gorbaczowa, czyli przebudowy stosunków międzynarodowych. Współczesny świat jest pełen głębokich przemian społecznych, wszechogarniającej rewolucji naukowo-technicznej, zaostrzenia się problemów globalnych i radykalnych przemian w sferze informacji. Szybko narastają zjawiska współzależności państw, kształ-

głej wolny światowej. A takich okretów jest kilkadziesiąt.

Nowe myślenie polityczne M. Gorbaczowa w dziedzinie stosunków międzynarodowych zaowocowało sformulowaniem wielu bardzo ważnych i interesujących tez, Państwa i społeczeństwa nadal bardzo różnią się między sobą, ale czy z tego powodu powinniśmy się wymordować? Czy nie słuszniej będzie wnieść się ponad to, co nas dzieli. Czy nie lepiej będzie dążyć do normalizacji stosunków międzynarodowych poprzez pogłębiającą się internacjonalizację? Politycy powinni więc wznosić się ponad wąsko pojmowane interesy narodowe; politykę międzynarodową należy oprzeć na ogólnoludzkich normach moralnych i etycznych, trzeba zaakceptować fakt niepodzielności bezpieczeństwa, zmienić doktrynę wojskową na ściśle obronne, przyznać każdemu narodowi prawo do wyboru własnej drogi rozwoju społecznego, nie przenosić rozbieżności ideologicznych do sfery stosunków między państwami. Takim rozbieżnościom nie wolno podporządkowywać polityki zagranicznej państw, bowiem ideologie mogą być krańcowo różne, natomiast interes przetrwania oraz zapobieżenia wojnie jest powszechny i nadrzędny.

Realistyczna polityka zagraniczna ZSRR w wizji M. Gorbaczowa powinna więc opierać się na uwzględnianiu własnych interesów narodowych oraz równocześnie na poszanowaniu interesów narodo-

Nowe myślenie o świecie

Ziemowit Jacek Pietras

tuje się świat różnorodny, ale wzajemnie powiązany, coraz bardziej zintegrowany. Jako pasażerowie „statku Ziemia”, powinniśmy przechodzić od podejrzliwości i wrogości do zaufania, od „równowagi strachu” do równowagi rozumu i dobrej woli, od waskonarodowego egoizmu do współpracy.

Podstawa nowej polityki zagranicznej ZSRR w związku z tym stał się priorytet wartości ogólnoludzkich, czyli priorytet przetrwania ludzkości. Wraz z pojawieniem się broni masowej zagłady zarysowała się obiektywna granica konfrontacji klasowej na arenie międzynarodowej — jest nią groźba powszechnej zagłady. Nowe myślenie o świecie zakłada realizację interesów ogólnoludzkich, odsuwanie katastrofy nuklearnej od ludzkiej cywilizacji. Dlatego ostatni, XXVII Zjazd KPZR postanowił zrezygnować z definicji pokojowego współistnienia państw o odmiennych ustrojach społecznych jako „specyficznej formy walki klasowej”. Nie rezygnując z klasowej analizy konfliktów międzynarodowych, równocześnie w sposób wyraźny oddzielono w uchwale zjazdu temat rewolucji od tematu wojny. Równocześnie zanegowano tezę, że współcześnie wojna jest nadal kontynuacją polityki za pomocą innych środków.

Wkraczając w epokę broni nuklearnej, „ludzkość utraciła nieśmiertelność” i trzeba wyciągnąć z tego bardzo konkretne wnioski polityczne. Ograniczenie potencjałów nuklearnych głównych mocarstw do 1-2 proc. oraz ich użycie i tak spowodowałyby niepowetowane szkody. Podstawą nowego myślenia jest więc zmieniona sytuacja międzynarodowa. Obecnie tylko jeden strategiczny okret podwodny przenosi potencjał zagłady kilkakrotnie większy od łącznego potencjału zagłady użytego w czasie dru-

wych innych państw. Tym samym nasz „wspólny europejski dom” może stać się obszarem pokojowego współistnienia i wzajemnie korzystnej współpracy nie w wyniku narzucenia przez Zachód swoich porządków państwom Wschodu, czy odwrotnie, ale poprzez zaakceptowanie zasad nowego myślenia o stosunkach międzynarodowych.

Powyższy przegląd najważniejszych, moim zdaniem, poglądów M. Gorbaczowa na temat przebudowy w Związku Radzieckim oraz przebudowy stosunków międzynarodowych uzasadnia chyba twierdzenie, iż jest to rzeczywiście program rewolucyjnych zmian w obu tych sferach. Na dodatek jest to program otwarty. Zwracając się do narodów świata, autor podkreśla bowiem, że nie prezentuje jedynej, niepodważalnej prawdy, która inni mogą jedynie przyjąć lub odrzucić. Nowe myślenie jest procesem, w toku którego wciąż należy się uczyć, zdobywać nowe doświadczenia, doskonalić tezy.

Rozważania radzieckiego przywódcy wytyczały nowe horyzonty rozwoju ludzkości, precyzują nowe, możliwe światy, pokazują szanse i zagrożenia. Dlatego nie wolno przechodzić obok nich obojętnie. Nowa rzeczywistość międzynarodowa niewątpliwie powstaje na naszych oczach. Pod wrażeniem zarówno ogólnych wizji, jak i konkretnych propozycji rozbrojeniowych, nawet administracja R. Reagana postanowiła skorzystać swoje wcześniejsze opinie i zaakceptować śmiało porozumienia rozbrojeniowe. Mamy więc do czynienia nie tylko z bardzo ważnym nowym myśleniem, ale także i z nowymi działaniami, których przyszłościowym efektem może stać się nowa rzeczywistość międzynarodowa.

Michaił Gorbaczow: „Przebudowa i nowe myślenie dla naszego kraju i dla całego świata”, Warszawa 1983.

Wybić się na niepodległość

Rewolucje rosyjskie a sprawa polska

Leszek Piątkowski

W 1917 r. Rosja była areną dwu rewolucji: lutowej — o charakterze burżuazyjno-demokratycznym — i październikowej — socjalistycznym. Pogląd o ich związku z odzyskaniem przez Polskę

niepodległości w 1918 r. znalazł w pełni uznanie dopiero w Polsce Ludowej. Dodajmy, że też nie od razu, a i obecnie nie wszystkie aspekty tego zagadnienia zostały ostatecznie wyjaśnione. Wzbudzają przez to pewne kontrower-

sje czy niepotrzebne emocje. Jest w tym sporo winy publicystów i historyków, którzy nierzadko przedstawiali sprawę w ten sposób, jakoby tylko dzięki rewolucji październikowej Polska odzyskała niepodległość. Stąd niedaleko było już do wniosku, że rewolucja przyniosła w darze wolność Polsce. Nikt nam tymczasem niepodległości nie ofiarował. Nie można jednak też zaprzeczać temu, że rewolucje rosyjskie z 1917 r. wywarły pośredni wpływ na odzyskanie przez Polskę niepodległości.

Uwidoczniło się to zaraz po rewolucji lutowej, kiedy sprawa polska, m.in. dzięki postawie Polonii rosyjskiej, stała się bardzo popularna. To właśnie wówczas hasło niepodległości państwa polskiego stopniowo zaczęło rozbrzmiewać na każdym wiecu i zbraniu polskim. Pragnienie odzyskania niepodległości stało się niemal po-

wszechne w środowisku polskim. Różnice sprowadzały się jedynie do kwestii dróg dojścia do niej oraz problemu, na kogo w nowej Rosji postawić: na Piotrogrodzką Radę Delegatów Robotniczych i Żołnierskich czy na Rząd Tymczasowy. Były to dwie główne siły polityczne w Rosji po rewolucji lutowej. Pierwsza z nich ukonstytuowała się 23 II (13 III) 1917 r. Większość delegatów posiadały w niej Partia Socjalistów Rewolucjonistów (eserowcy) oraz frakcja Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji — mienszewicy. Rząd Tymczasowy uformował się zaś 2 (15) III 1917 r. Tworzyli go reprezentanci ugrupowań burżuazyjnych, przede wszystkim

Ciąg dalszy na str. 8—9

kamena 3

Marzec '68 na polonistyce UMCS

Andrzej W. Pawluczuk

CZYM był dla mnie i mojego pokolenia tamten marzec 1968 roku? Najlepiej pamiętam atmosferę owych dni, które były lekcją przyspieszonego dojrzewania. Moje plany i marzenia, z jakimi wybierałem się dwa lata wcześniej na studiowanie polonistyki, zdezerowały się z rzeczywistością, którą odczułem nagle jako obcą i przeciwną temu, w czym widziałem sens swojego życia. Była to brutalna konfrontacja, dotycząca samych podstaw naszego pokoleniowego myślenia i widzenia świata jako uporządkowanej hierarchii wartości.

Ta skrócona diagnoza wyjaśnia podstawową rzecz, której nie mogli zrozumieć ówczesni politycy i reprezentujący ich dziennikarze. Wiece, manifestacje, spisywane naprędce rezolucje nie były dla nas działaniami politycznymi. Była to naturalna obrona wartości, które uznaliśmy za ważne dla siebie osobiście. Wydarzenia marcowe wynikały z sytuacji politycznej w kraju, którą da się opisać językiem socjologii. To, co decydujące — tkwiło w moim i moich rówieśników rozumieniu rzeczywistości. Mówiąc inaczej: byliśmy przygotowani do Marca i wbrew temu, co pisały gazety, nikt nie musiał nam podpowiadać, że brak wolności słowa skazuje nasz kraj i kulturę narodową na powolną degradację. Mówię oczywiście o sobie i grupie przyjaciół ze studiów. Aby jednak zrozumieć, jacy wtedy byliśmy, trzeba cofnąć się o kilka lat, kiedy zaczęło się nasze dojrzewanie i poszukiwanie własnej drogi życia.

Na filologii polskiej chłopcy byli zawsze w zdecydowanej mniejszości. Studia te przygotowują w zasadzie do zawodu nauczyciela. Nie jest to kariera dla mężczyzny, toteż chłopcy-poloniści są często osobnym gatunkiem studenta. Tak było i na naszym roku, gdzie znalazło się nas jedenastu i setka dziewcząt. Już wtedy każdy z nas stanowił jakąś indywidualność. Kilku pisało i publikowało wiersze (między innymi ja także), ktoś działał w teatrze studenckim, jeszcze inni próbowali sił jako dziennikarze. W tych latach małej stabilizacji, na którą skazywano nasze pokolenie, wybór studiów polonistycznych nie oznaczał więc wybrania zawodu. To było dla nas coś innego i zarazem coś więcej, ponieważ przychodziliśmy na uniwersytet ze skrytykowaną wizją własnej przyszłości jako ludzi, którzy będą pisać, współtworzyć kulturę kraju. Dlatego nudził nas program studiów; chcieliśmy studiować inaczej, poszerzać wiedzę nie z języka starocerkiewnosłowiańskiego, ale współczesnej humanistyki: filozofii, antropologii, socjologii kultury. Chcieliśmy śledzić nowości i nowinki intelektualne świata, a przychodziło nam grzęznąć w

nudzie sprzed paru wieków. To lekceważenie programu wyrażało nie tylko niezgodę na proponowaną po dyplomie profesję i konformistyczną dorosłość. Uważaliśmy, że wybieramy przyszłość trudniejszą, wymagającą odwagi i wiary we własne siły, ale która zapewni naszemu życiu wysoką temperaturę odczuwania i myślenia i uchroni przed umysłowym rozleniwieniem.

Koło Naukowe Polonistów, opanowane przez ugrzecznione panienki z III i IV roku, odpychało letnią i właśnie leniwą atmosferą. Założyliśmy przeto własny klub. Nazywał się sekcją krytyki literackiej i ja, jako inicjator tego pomysłu, zostałem jej przewodniczącym. Na nasze zebrania nie przychodziła ani jedna dziewczyna i fakt, że była to jakby „męska” sprawa, dodawał dyskusjom swoistego smaku. Jesienią '67 ambicje literackie wzięły górę i, już na drugim roku, przekształciłem się w sekcję twórczości własnej, której przewodniczył Stasio Królík. Pojawili się wśród nas dziewczęta oraz koledzy z I roku i innych kierunków. Stawaliśmy się gronem przyjaciół, którzy w zasadniczych kwestiach mają wspólne poglądy. Chłopcy z pierwszego roku wykorzystali do swoich potrzeb dyskusyjny ZMS i na zebraniach swojego koła rozmawiali najczęściej o filozofii. Przewodniczącym został Broniek Kowalski, ale rzeczywistym liderem był Rysiek Setnik, deklarujący się jako „prawdziwy” marksista i rewolucjonista, zakochany w „Che” Guevarze i jego powstańczej guerrill. Cóż, byliśmy młodzi i romantyczni, i z niezmierną powagą uznaliśmy, że naszym powołaniem jest naprawić świat, Polskę i kulturę. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że instynktownie powtarzamy cykl młodzieńczych zachowań, zrośniętych od wieków z historią naszego kraju. Byliśmy bowiem niebawem pozytywni w niepokojach i troskach, i wierzyliśmy w obiektywną hierarchię wartości. Obiektywną — czyli istniejącą niezależnie od urzędowych ocen i politycznych koniunktur. Ważną naszą cechą była zatem niezależność, której broniliśmy zawzięcie, czując, iż bez niej nie powstanie żadna sensowna myśl. Próg, poniżej którego nie chcieliśmy schodzić, ustawiony był więc dość wysoko jak na ówczesną sytuację. Proces Melchiora Wańkowicza i Jana Nepomucena Millera, którzy wyrażali niezależne myśli, powinny być dla nas ostrzeżeniem. Byli jednak zupełnie czymś innym, ponieważ myślimy się już opowiedzieli i wybrali, chociaż nie umieliśmy jeszcze wyartykułować swojej postawy w postaci klarownego programu.

Sprawa Wańkowicza. To była jesień 1964 roku, parę miesięcy po słynnym „Liście trzydziestu czterech”, który mocno zryłował ówczesną władzę. Nadęta i pusta retoryka „kontrlistów” sprawiła, że w urzędowej reakcji czuło się fałsz i bezsilność wobec rzeczowych argumentów. Skazanie pana Melchiora było jakby mocnym akordem, przypominającym, do kogo należy ostatnie słowo. Byłem wtedy uczniem X klasy Liceum Zamojskiego i zaczynałem pisać pierwsze wiersze. Może dlatego proces ten dotknął mnie osobiście i poczuwałem

się do jakiejś — nieodwytnej jeszcze — wspólnoty z tym dużo starszym pisarzem. Moje pojmowanie polityki było bardzo naiwne i prostoduszne, gdyż wyobrażałem sobie, że władza nie wie, co robi. Zamierzałem napisać memorał do Gomułki, w którym chciałem mu wytłumaczyć, na czym polega rozwój literatury. Ostatecznie zdobyłem się tylko na mały gest: przyszedłem do szkoły bardzo wcześnie, kiedy nikogo nie było jeszcze w klasie, i napisałem na tablicy wielkimi literami: „Uwolnić Wańkowicza”. Pierwszą lekcją był język polski z profesorem K. Popatrzyl on na moje dzieło bez słowa i — czego nigdy nie robił — kazał zapisać na tablicy temat lekcji, Odetchnąłem z ulgą, ponieważ przyrzekłem sobie, że jeśli zapyta, kto to zrobił — przyznam się natychmiast.

Teraz widzę, jak wiele zawdzięczam mądrym nauczycielom, którzy rozumieli nasze niepokojące sięgające rzeczy istotnych. Wtedy to zaczęła we mnie kiełkować niechęć do „policyjnej stylistyki” (tak ją sobie nazwałem), za której pomocą dawno w gazetach „odpór” i pouczano, na czym polega socjalizm. Było to odmienne nie tylko od mojego i moich rówieśników pojmowania rzeczywistości. Odnajdywałem w tym języku jakąś prostą i towarzyszącą, razil mnie brak estetyki i giętkości w wyrażaniu myśli, jakby pewne słowa, pojęcia i obrazy znajdowały się poza jego zasobem leksykalnym. Powodowało to, że byłem od razu odporny na tę argumentację. Była to mowa jakby z obcego, „innego świata”, gdzie funkcjonują inne wartości i odmienny sposób myślenia.

W latach 1966—68 byliśmy już pokoleniem, które zebralo nieco doświadczeń i miało świadomość zakorzenienia w sytuacji, która rozwija się według przejrzystej dla nas logiki. Ciekawe, że kiedy określiliśmy się wreszcie jako ludzie, którzy czegoś chcą i mają coś do powiedzenia, inaczej spojrzeliśmy na uniwersytet i naszych nauczycieli. Stosunki z nimi nie były jeszcze serdeczne, poznawaliśmy się dopiero. Ale odczuliśmy, że stosunek młodszych pracowników nauki stał się do nas bardziej przychylny. Pozwoliło nam na pewien luz, bardzo nam potrzebny, ponieważ nie potrafiliśmy jeszcze inaczej manifestować swojej niezależności. Najbardziej żyłci byliśmy z doktorem Zdzisławem Jastrzębskim. Utrzymywaliśmy z nim więź, chociaż na II roku przestał być naszym opiekunem i — mimo ogromnego dystansu intelektualnego — rozwinęła się z tego chyba przyjaźń. „Zdzicho”, jak go nazywaliśmy, umiał docenić naszą pasję, podsuwał lektury, pomagał artykułować kłębiące się myśli. Czytało się wówczas dużo Sartre'a, Camusa, Levi-Straussa, francuską nouvelle roman i jej teoretyków. Mówiliśmy o Gombrowiczu, Miłoszu, Wierzyńskim, Hłasce, Herlingu-Grudzińskim i Józefie Łobodowskim, wybitnej postaci międzywojennej poezji lubelskiej. Ceniliśmy Herberta, a „mały realizm” mieliśmy w pogardzie. Skrytykowaliśmy głośno „Zółwie” Kabatca, a z powodu miążdzącej oceny „Kamieniowych tablic”, jaką w sposób ukartowany przeprowadziliśmy na zebraniu Koła Polonistów, pewna pani profesor przestała darzyć nas sympatią. Okazało się, że możemy przyjść na każdą dyskusję literacką i poprowadzić ją według swojego planu. Korzystając z tej nowej umiejętności, udało nam się zmusić Putramenta do publicznego zakwestionowania pozytywnej roli cenzury, a Józek Osmola udowodnił Grochowiakowi, że nie wie on, o czym pisuje swoje wiersze.

Lublinianin w Paryżu (6)

„Przód i tył Republiki”

Ireneusz J. Kamiński

POWTARZAM: bez opanowania techniki zapasów w stylu francuskim, tylko sentymentalny idealista może próbować szczęścia w Paryżu, by skończyć na „out”.

W porę zrozumiał to Tomek Kawiak, jak wiadomo — lublinianin z urodzenia (1943), rzeźbiarz po warszawskiej ASP.

Osiadłszy nad Sekwaną u schyłku 1970 r., przez kilka lat zachowywał się jako to słowiańskie dziecko naiwne, płowowłose i pełne wiary, że etycznie ułożonym gestem, ekologiczną manifestacją, symbolem uniwersalnym ulicznym przedstawieniem zachęci ludzi do samorefleksji, skupi ich wokół dobra...

Kawiakowe akcje budziły nawet zainteresowanie i uznanie ale ponieważ ich wartość realizowała się w sferze ducha, przysparzały ostatecznie autorowi więcej biedy, niż satysfakcji. Dosłownie: biedy.

Dopiero na Zachodzie nasi doświadczają prawdy, zwykle na własnej skórze, że Polska to kraj szczególnie spirytualny, więc jakby egzotyczny w Europie.

Zniechęcony obrotem sprawy, tak oryginalnie i efektownie zamkniętej w kraju, Tomek powrócił do zawodu wyuczonego w warszawskiej Akademii i przyjął postawę artysty renesansowego, który świadom własnej odrębności, zbytnio nie wadził się ze światem i pracował na zlecenia kościołów, dworów czy miast.

Nie była to jednak taka sobie prosta, trywialna wolta, z lądowaniem w komercyjnym kanale, o nie! Materiałnym i semantycznym punktem wyjścia twórczości rzeźbiarskiej Kawiaka stały się bowiem dwa moduły, dwie formy elementarne o charakterze uniwersalnych symboli: cegła, od zarania wazak obecna w ludzkiej cywilizacji, oraz górna część spodni dżinsowych, które z kolei są jednym ze znaków wyróżniających współczesnej pop-kultury. Ekspozowane pojedynczo, miejscami deformowane najeźdźcą jednak włączane w bardziej rozbudowane u-

kłady — cegły wykonuje artysta z materiałów ceramicznych, patynowanych brązów, żelaza, papieru lub plastiku, natomiast dżinsy „ubiera” w białe marmury i stopy miedzi z innymi metalami. Wysokość tych ostatnich prac waha się od 30 cm do 250 cm. Przygotowany z myślą o dwusetnej rocznicy (1989) rewolucji francuskiej „Przód i tył Republiki”, czyli precyzyjny odlew fragmentu wiadomych spodni, posiada wymiary 2,5 m na 2 m, pochłoniął pół tony brązu i rok pracy. Dodajmy, że promień złoconego guzika z odciskiem dłoni artysty liczy 30 cm, a cała rzeźba, jeśli zostanie zakupiona przez miasto i postawiona w dzielnicy Defense, może przynieść autorowi jakiegoś pół miliona franków, zatem tyle, ile kosztuje niewielki dom.

Prace Kawiaka znajdują licznych nabywców, choćby na międzynarodowych targach sztuki w Sztokholmie i Nicei (1987), gdzie zresztą tylko on jeden reprezentował był obszerne zestawem rzeźb, szwedzką galerię „Art Atrium” Jerzego Prouzyńskiego Pokaz ten i wystawa indywidualna Tomka w Ga-

lerie Jean-Marie Cupillard w St. Tropez zostały zrecenzowane przez jednego z najwybitniejszych krytyków francuskich, Pierre Restany'ego. Dalej: latem minionego roku, w parku włoskiego Montignoso, rzeźby Kawiaka ekspozowane obok takich klasyków sztuki współczesnej, jak Max Bill, Noguchi, Pomodoro, wespół z głośnym dziś Sandro Chia.

W Pietrasanta koło Carrary we Włoszech, w normandzkiej miejscowości Fontaine la Soret, gdzie artysta posiada drugą pracownię (400 m powierzchni, 9 m wysokości w szczycie) i obszerny dom mieszkalny w murach dawnej wytwórni calvadosu z XVIII wieku, której prasę zachował jako zabytek — tam więc powstają „cegły” i „dżinsy”, także obrazy z tym pierwszym motywem, będące czymś w rodzaju oryginalnej sygnatury autora w albumie sztuki współczesnej. Owszem, dżinsy już znacznie wcześniej malowano i preparowano, ale nikt dotąd nie kroił ich w marmurze, nie odlewał w brązie o znacznych nieraz rozmiarach i co ważniejsze — nie przydawał im znaczenia. Jak to zrobił Kawiak, pozytywnego symbolu naszych czasów, ujętego w formule monumentalnej apoteozy.

Opanować reguły walki w stylu machodnim i wykorzystać je dla osiągnięcia celów niepopolitych — to jest dopiero sztuka!

Rozległe są stosunki towarzyskie Tomka Kawiaka, najbardziej przecież cenil on sobie znajomość z człowiekiem skromnym, bezpośrednim choć przecież zajmującym wysoką pozycję w kulturze artystycznej współczesnej Francji, którą osiągnął po latach ciężkich zmagania z losami.

Dużo rozmawialiśmy także o polityce i oskarżeniach. Nikt nie potrafiłby nas przekonać, że np. esejje Miłozza czy „Dziennik” Gombrowicza szkodliwe są dla socjalizmu takiego, jakim go pojmowaliśmy. „Zdróżko” mawiał często, że z wielu rzeczy zdany sobie dopiero sprawę wtedy, gdy odcujemy je na własnej skórze. Brak dostępu do wielu książek donosił i nie umieliśmy temu zaradzić. Toteż zaczął w nas kształtować się pogląd, że socjalizm trzeba w tej mierze naprawić, albowiem bez wolności słowa literatura, jak i cała kultura, skazana jest na upadek.

II

Taka, w skrócie, była biografia mojego pokolenia, kiedy wybuchł Marzec. Wybuch? Nie — on nie wybuchł, lecz został przez nas zrobiony od początku do końca. Teraz wiem, że każde pokolenie musi mieć swoją wiosnę. Zbyszek Fronczek powiada: „Oferowano nam małą stabilizację, a my potrzebowaliśmy wielkiej improwizacji”. To prawda, kierowały nami emocje i intuicja, wysokie zadania, wartości i takie samo mniemanie o nas samych. Było to skutkiem czasów, lektur i rozumnego wpływu naszych nauczycieli.

Do Lublina nie docierały wszystkie informacje z Warszawy, a zresztą dla nas, początkujących literatów, i tak byłyby nieważne. Zyliszy nie polityką, ale literaturą i aprzeciwy wywołano w nas zdziwienie ze sceny „Dziadów”, rozpędzenie manifestacji pod pomnikiem Mickiewicza oraz represje wobec studentów Warszawy. Co oczywista, popieraliśmy uchwałę Warszawskiego Oddziału ZLP, ponieważ nie zgodziliśmy się na podporządkowanie literatury narodowej, dawnej i współczesnej, bieżącym interesom władzy. Jako poloniści doskonale czuliśmy wewnętrzny puls literatury i jej niesłuchaną czułość na wszelkie ograniczenia polityczne. Powierdzano to emigracyjna twórczość Gombrowicza, Miłozza i Herlinga-Grudzińskiego. Bez względu na urzędowe epitety, przypisane tym pisarzom, nie mieliśmy wątpliwości, że wcześniej czy później wejdą oni do podręczników. Dlatego po wiecach 8 i 9 marca w Warszawie nie mogliśmy pozostać obojętni. Teraz, po dwudziestu latach, mogę powiedzieć, że zwołanie manifestacji 11 marca pod Chatką Żaka w Lublinie było naszym, drugiego roku polonistyki pomysłem i dziełem.

Napisaliśmy ulotki i rozkleiliśmy je w różnych miejscach miasteczka akademickiego i na KUL-u. Około godziny 14 był już nasz wielki tłum — trzy, może cztery tysiące studentów, którzy nie bardzo wiedzieli, jak zabrać się do prawdziwego wiecowania. I i II rok polonistyki zebrały się w jednym miejscu, a dziewczęta wypchały mnie i Bronka Kowalskiego, aby któryś z nas przemówił do zgromadzenia. Ale ja miałem w głowie kompletną pustkę. Wreszcie zaczęliśmy z Bronkiem skandować: „Na Krakowskie Przedmieście!”, podjęli to inni, uformował się pochód, którego polonistyka stanowiła dwa pierwsze rzędy. Przed pochodem biegł Broniek (inni pamiętają w tej roli Tadeusza S., obecnie dziennikarza poważnej gazety warszawskiej) i podawał hasła: „Precz z cenzurą” i „Dziady na scenę”.

Stwierdziliśmy się w ulicę Nowotki, z zamiarem dotarcia na Plac Litewski. Planowaliśmy, że dopiero tam, przed gmachem Rektora, weźmiemy sprawy w swoje ręce: wybierzemy komitet strajkowy i uchwalimy rezolucję. Ale przy Domu Nau-

czytela czekała nas niespodzianka: zwarta, dość niezbyt duża grupa mężczyzn. Stanęliśmy twarzą w twarz, wyraźnie czując od nich zapach alkoholu. Może stąd wzięła się ich agresja: podobnie w kierunku do jednego z nas, wyciągali z pochodu i pokonali do samochodu. Znalazłem się w pewnym momencie przy krawężniku i zwróciłem uwagę na wyraźnie starszego od nas mężczyznę, który usiłował rozkołysać i przewrócić białą zastawę. Nie spodobało mi się to i nagle, jak na ekranie kina, przewinęło mi się przed oczami kilka podobnych do niego wiekiem i strojem mężczyzn, który już przed Chatką Żaka zachowywali się agresywnie. Zawołalem Zbyszka Fronczka i przepędziliśmy faoeta. Wkrótce pojawiła się milicja w mundurach, z pałkami i psami, i zaczęliśmy cofać się pod naporem zorganizowanej siły.

Pojawienie się milicji było wielkim szokiem, ponieważ w swojej naiwności byliśmy przekonani, że domagamy się realizacji sztandarowych haseł socjalizmu, tylekroć potwierdzanych przez władzę. Nie potrafiliśmy zrozumieć, że Mickiewicz i wolność słowa mogą być „antysocjalistyczne”. Teraz już dosłownie zderzyliśmy się z „innym światem”, który socjalizm pojmował odmiennie niż my, wychowani na najwybitniejszych dziełach literatury światowej i polskiej.

Artykuły w prasie potwierdziły to przypuszczenie. Gdyby władza miała rację, nie musiałaby znieść się do kłamstw. Kultura, którą byliśmy przesiąknięci, dawała nam dostateczne schronienie, byśmy nie musieli odpowiadać tym samym. Ktoś z nas zacytował (chyba) Rogera Cailloisa: Rewolucjonista, który zdobędzie władzę, jest mężem stanu, ale gdy przegra — jest kryminalistą. Tę bijącą z gazet wściekłość, podjął nagonkę na Żydów, wreszcie stwierdzenie, że wielu studentów w pochodzie było pijanych, z łatwością odczytaliśmy jako realizację wzoru kulturowego, który z oficjalną wykładnią porządku społecznego w PRL nie miał nic wspólnego. Np. jedna z gazet lubelskich z dnia 12 marca napisała w artykule (anonimowym): „[...] pewna grupa z lubelskiego środowiska studenckiego — niestety, w tym wielu pijanych — dokonała ekscesów. Niektórzy brali się do rękoczynów [...]. W obronie robotników wystąpiła milicja”. Kiedy na wiecu, zwołanym dwa dni później przez Radę Okręgową ZSP, wywołał dziennikarza z tej gazety i domagaliśmy się sprostowania i przeproszenia, usłyszeliśmy: „nie będziemy niczego prostaować”. Znowu powiało „innym światem”, ukształtowanym przez obcą kulturę i dlatego wiedziałem, że między nim a mną nigdy nie będzie zgody.

Ow pamiętny wiec w Chatce Żaka, który zaczął się 13 marca o ósmej wieczorem, a zakończył grubo po północy, był naszym sukcesem. Mądrze i spokojnie zagał dr Artur Korobowicz, wówczas adiunkt Wydziału Prawa UMCS, dziś sekretarz KW PZPR w Lublinie. Jego zachęta, abyśmy wyznaczyli z siebie wszystkie żale i pretensje, wynikała zapewne ze znajomości socjotechniki. Gdyby próbowano narzucić nam interpretację wydarzeń nie po naszej myśli, manifestowalibyśmy dalej. A tak — uspokoił się, gdyż nasz cel został w zasadzie zrealizowany. Uchwalona przez wiec rezolucja popierała studentów Warszawy i podłączymywała postulat wolności słowa i przywrócenia na scenę „Dziadów”. Przez gazety wydrukowana została z opóźnieniem, wrywkowo i jakimś potępnym komentarzem.

Pamiętam doskonale ten wielogodzinny wiec, gdyż byłem jednym z pierwszych mówców i zostałem do końca. Moje wystąpienie było krótkie, ale rozgęzło się. Zadawałem pytania, a tysiące zgromadzenie odpowiadało mi gromko „tak” albo „nie”. Chyba po godzinie ktoś poinformował sąż, że na zapleczu, za sceną, pracują magnetofony. Ale nie zrobiło to na nas wrażenia. Wierzyliśmy Radzie Okręgowej ZSP i Rektora, że nikt za wystąpienie na wiecu — ostatecznie powie — nie będzie karany.

III

Dzisiaj widzę, że Marzec '68 był niesłychanie ważnym przeżyciem pokoleniowym, które wzmocniło nasze wcześniejsze postawy. Mogło się zaistnieć tak dlatego, że nie był to ruch polityczny, ale naturalny dla naszego sposobu rozumowania odruch sprzeciwu moralnego. Do dzisiaj nie interesują mnie i moich przyjaciół z tamtych lat tzw. obiektywne przyczyny ówczesnych wypadków, przez które rozumie się polityczne tarcia w aparacie władzy i „złożoną sytuację międzynarodową”. To, co dla mnie i moich kolegów było obiektywne i do dzisiaj dla mnie oczywiste — było w nas samych i gdybyśmy myśleli wówczas inaczej, nie byłoby ulicznych starć, wieców i naszych rezolucji. Ten wielki kapitał, jakim była nasza energia i chęć ulepszenia Polski, został, niestety, zmarnowany. I jeżeli już oficjalnie mówi się dzisiaj o cywilizacyjnej degradacji naszego kraju, to na pewno jako jedną z przyczyn należy wskazać tamtejszy sposób rozwiązywania konfliktu.

Kilka dni po wiecach dwie panie na uczelni prowadziły drobne dochodzenia i sporządzały wykazy osób, które należy usunąć z ZMS i partii. Było to żalonne widowisko, ponieważ pozostali nauczyciele akademicy sprzyjali nam mniej lub bardziej otwarcie. Wydawało się, jakby nasze jawne wystąpienia podciągnęły nas do góry i postawiły w nowej sytuacji, której mogliśmy sprostać tylko w jeden sposób: zdobywając lepsze oceny i wykazując większą aktywność intelektualną. Tego od nas oczekiwano i czuliśmy się nieswojo, sprawiając nauczycielom zawód.

Nasza grupa „literatów” stała się bardziej żyła, skonsolidowana i spotykaliśmy się już nie tylko na zebraniach sekcji twórczości własnej. Lubiliśmy przebywać ze sobą, rozmawiać i dyskutować o swoich wierszach. Dwa lata później zrodziła się z tych dyskusji „SAMSARA”, grupa literacka o jedynym w swoim rodzaju programie, która namieszczała trochę w sennym środowisku literackim Lublina. Ale to już inna historia...

Kto należał do tej grupy bliskich sobie ludzi, których złączył Marzec '68? Oprócz mnie Stasio Królik, Rysiek Setnik i Broniek Kowalski, Dominik Opolski, Aleksander Migo, Stacho Rogala, Józek Osmała, Tadeusz Kwiatkowski-Cugow, Zbyszek Fronczek i Czarek Listowski. Niektórzy są dzisiaj literatami i autorami kilku książek, Setnik pracuje naukowo, Migo wstąpił do milicji i wkrótce zniknął z naszego pola widzenia, Józek został działaczem politycznym, zaś Broniek — internowany 13 grudnia 1981 roku — wyemigrował potem do Stanów Zjednoczonych. Nikt z nas nie zrobił kariery (jak się ją powszechnie rozumie) i jest to konsekwencją naszego wyboru, dokonanego 20 lat temu.

Andrzej W. Pawluczuk

Tym człowiekiem jest Ladislas Kijno, wybitny malarz, mieszkaniec podparyskiej miejscowości Saint-Germain-en-Laye, gdzie znajduje się słynny zamek, wystawiony jako twierdza w XII wieku, a później wielokrotnie rozbudowywany przez królów francuskich, wyposażony przez Napoleona III w muzeum sztuki i starożytności, a przez pana Moliera — w śmiech nie zawsze rozumiejący Ludwikowych dworzan.

Kijno posiada tam dwupiętrowy pałac, akcentowany na fasadzie balkonem wspartym na kolumnkach i zwieńczony klasycystycznym tympanonem. Biały budynek otacza zielony ogródek z rzeźbami, wśród których zachęcająco wypina się brązowy biust na takich ceglach, uformowany przez Kawiaka.

Pod dochem — sama wygodna i sztuka: kilka pomieszczeń mieszkalnych i atelier na wysokości, w którym Kijno, ubrany w robocze odzienie, strzeła w w płótna farbą z węża pod ciśnieniem, łazi bosymi stopami po świeżo zamalowanych obrazach, albo rozdrapuje grubymi ich barwną materię.

Zdumiewająco sugestywne, witalne i niepokojące są rezultaty tego procederu, który kształtuje światy pobrzmiewające znakami jakiegoś pierwotnego, zapomnianego języka lub wabiące sroczką aluzją form kulistych, obłych, przypominających może czasami pierś i biodra kobiece.

W moim życiu nie brakowało katastrof, ale w sztuce oscyluję między pesymizmem ludzkiego doświadczenia i optymizmem zrodzonym z samego faktu kreacji. Bo tylko twórczość może zbawić świat! Uprawiając przez mój malarstwo nie jest ani realizm-

ne, ani abstrakcyjne. To mój krzyk, moje życie, hieroglificzny zapis codziennej egzystencji” — wyjaśnia Kijno.

Katastrofy, o których wspominał artysta, przyjdzie nam chyba uznać za coś normalnego, jeśli poinformujemy wreszcie, że Ladislas pochodzi z polskiego rodu.

Jego pradziadkowie zamordowali Kozacy, przy organach, gdzieś w okolicach Częstochowy.

Jego ojciec, Józef, urodzony w 1885 roku, w ówczesnym Noworadomsku, jako student warszawskiego konserwatorium i człowiek zbliżony do kręgów socjalistycznych, znający m. in. Różę Luksemburg, brał udział w rewolucji 1905 roku, za co skazany został na rok cytałeli i długoletnią zsyłkę na Sybir. Był to przecież człowiek odważny, inteligentny, doskonale władający językiem rosyjskim, zatem wraz z grupą towarzyszy zbiegł z katangi i pokonując tysiące kilometrów, drogą przez Finlandię, dotarł do Liège. Znalazł tam wolność, ale i nieszczęście: takie sobie zwyczajne, straszne, polskie nieszczęście.

Oto Józef Kijno, wyróżniający się student szkoły muzycznej, utalentowany skrzypek, patriota i rewolucjonista, nie mając żadnego innego wyboru został górnikiem w kopalni węgla kamiennego. Bo to była jedyna robota, dostępna „dla tych biednych Polaków”.

Po szychcie przygrywał na skrzypkach w knajpach, w których spotykali się polscy górnicy.

Ożenił się z Klarą Adolfina Haze, kelnerką pochodzenia francuskiego, z którą po pewnym czasie wyjechał do Kanady, jako że lewicowe poglądy Józefa drażniły otoczenie. Po dwóch la-

tach małżeństwo wróciło do Europy, gdzie Kijno podjął pracę w francuskiej kopalni, by w roku 1919 znaleźć się w Polsce.

27 czerwca 1921 roku, przy ul. Chocimskiej 27 w Warszawie, urodził się Piotr Władysław, późniejszy Ladislas Kijno. Rósł tutaj przez pięć lat, mówił już oczywiście po polsku.

W 1926 Kijnowie wrócili do Francji. Józef znowu trafił do kopalni — na całe życie.

Ladislas też miał zostać górnikiem; ale namówiony przez znajomego księdza, ojciec umieścił syna w seminarium duchownym. Tak oto spójnił się z polską ludową wzór kariery życiowej.

Nie sądzona jednak była chłopcu czarna sukienka. Po latach opuścił seminarium i rozpoczął studia filozoficzne na uniwersytecie w Lille, a następnie artystyczne, w tymże mieście. Krótko to trwało. Należał jednak wiedzieć, że od najmłodszych lat Ladislas rysował i malował. W saloniku jego domu wisł na ścianie pastelowy obrazek z 1936 roku, przedstawiający błękitne koniki z karuzeli.

Podczas wojny zachorował na gruźlicę, która na długo zamknęła go w jednym z sanatoriów na południu Francji. Ale już w tym okresie zainteresowania artystyczne Ladislasa przekraczały granice zwykłego amatorstwa. Wtedy też, po wyzwoleniu Francji, spotyka swoją przyszłą żonę, Malou Kerdauid, stewardesse Air-France, która jako jedyna uszła z życiem w katastrofie samolotu, odbywającego premierowy rejs z Paryża do Londynu.

Po opuszczeniu sanatorium, w roku 1954 Ladislas postanawia, że będzie malarzem, tylko malarzem.

Obrazy Kijno znajdują się dziś w wielu muzeach świata, w 1980 roku reprezentowały sztukę francuską na Biennale w Wenecji. Wielka retrospektywa jego twórczości w Musée de Toulon (1986) odbyła się pod patronatem ministra kultury, Francois Leotarda. Rene de Solier opublikował (1972) monografię artysty, w której znajduje się m. in. reprodukcja obrazu „W hołdzie Gagarinowi”...

Większość tych informacji zaczerpnąłem z dokumentów, pieczołowicie przechowywanych przez Kijno. Jest wśród nich ostatni list od ojca artysty, opatrzony datą 10 września 1950 roku i nazwą miejscowości nadania: Noeux-les-Mines.

W korespondencji ojciec przypomina swoje lewicowe poglądy, chwali obrazy Ladislasa i napomyka, że zreperował właśnie skrzypce i po dziesięciogodzinnej robocie w kopalni bierze instrument do ręki i muzykuje choćby dwie godziny dziennie. Jest w tym liście duma z poczyną syna, ale i gorzyc człowieka, który miał być artystą, a został górnikiem.

„Ten list uważam za testament ojca” — mówi Kijno. I dodaje: „Matka, która zmarła w minionym roku, w wieku 91 lat, do końca potrafiła mówić po polsku. Niestety, ja już nie potrafię”.

Kiedy po pożegnaniu się z artystą i jego żoną wsiadaliśmy do samochodu Tomica, Ladislas podbiegł do wozu i wcisnął mi na głowę swoją granatową czapkę, jako żywo przypominającą „Leninówkę”...

W kręgu mitów rodzinnych

Rozmowa z Janem Koprowskim

— W jednym z wywiadów wyznał pan: „Bardzo wczesnie chciałem być pisarzem, ku ogromnemu zmartwieniu mojej matki, jeszcze wtedy, gdy nie miałem świadomości, co to jest pisarstwo”. Czy mógłby pan szerzej przedstawić początki swej drogi literackiej?

— Ani w mojej bliskiej, ani dalszej rodzinie nie było nikogo, kto zajmowałby się kulturą, a tym bardziej literaturą. Wszyscy moi przodkowie, rodzice, bracia, posiadali konkretne zawody; to, co robili, dało się dotknąć i namacalnie sprawdzić. Tymczasem ja już jako mały chłopiec objawiałem zainteresowania literackie. Będąc uczniem, czytałem dużo książek, lubiłem wypracowania z języka polskiego na dowolny temat, kiedy mogłem dać upust swojej wyobraźni, nawet pisywałem jakieś wiersze okolicznościowe na uroczystości szkolne, nie przyznając się do ich autorstwa. Poza tym występowałem w teatrze szkolnym, bo obok literatury bardzo pasjonował teatr. Wydawało mi się wtedy tak: jeżeli nie mógłbym zostać pisarzem, to powinienem zająć się aktorstwem. Nie były to plany czy zamierzenia w pełni uświadomione. Jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, na czym polega pisarstwo, lub aktorstwo, ale intuicyjnie wyczuwałem ku czemu zmierzam.

Myślę, że swoje zainteresowania odziedziczyłem po matce. Moja matka wprawdzie nie odznaczała się niczym szczególnym, jeśli chodzi o sprawność w pisaniu — posiadała dużo dzieci i zajmowała się gospodarstwem — ale, jak z perspektywy czasu to oceniam, miała zadatki na człowieka, który w innych warunkach miałby coś do powiedzenia w kulturze, sztuce czy literaturze.

W 1934 roku wydrukowałem swoje pierwsze wiersze. Kiedy potem ukazały się inne moje utwory poetyckie, uświadomiłem sobie, że znajduję się na drodze, po której powinienem pójść. W 1936 roku wydałem pierwszy tomik wierszy pt. „Do mojej ziemi”. Tytuł tego zbioru wziął się stąd, że pisałem go poza miejscem swojego urodzenia. Po wyemigracji z Kieleckiego miasteczka w Pruszkowie pod Warszawą. Będąc z dala od ziemi rodzinnej, tęskniłem do domu, do dawnego pejzażu, kolegów, środowiska. W atmosferze tęsknoty i nostalgii rodziły się wiersze, które weszły do pierwszego tomiku. Ale muszę tutaj zaznaczyć, że kiedy z perspektywy czasu patrzę na swoje pierwszociny, oceniam je bardzo krytycznie. Młody poeta nie powinien spieszyć się z wydaniem pierwszego zbioru poezji.

— Urodził się pan w Pokrzywnicy, małej wsi, leżącej w województwie kieleckim. W jaki sposób miejsce urodzenia zawładnęło w wyborze tematów pańskich książek?

— Ziemia, na której człowiek wyrósł — każdy, a tym bardziej artysta — odgrywa ogromne znaczenie nie tylko w jego życiu, ale także i w twórczości. Dla pisarza decydujące jest to, skąd się wywodzi. W dzieciństwie kształtuje się i formuje charakter, a wrażenia i przeżycia z tego okresu odciskają się najtrwalej i najgłębiej. Choć mając osiemnaście lat opuściłem ziemię kielecką, to ciągle na niej byłem, nie fizycznie, ale, jak to się mówi — duchowo: pamięcią, wyobraźnią, tęsknotą. Jeśli zasiadałem do pisania, najpierw wierszy, a potem prozy, i przedstawiałem jakiegoś człowieka, jakiegoś wydarzenia, jakiś pejzaż, to nawet gdy nie nazywałem rzeczy po imieniu, akcja była najczęściej ulokowana na ziemi kieleckiej. Znałem rzeki, lasy, pola, domy, miasteczka i wsie, znajdujące się na tej ziemi. To wszystko przenikało do moich książek.

Urodziłem się na wsi, ale jako czteroletni chłopiec pojechałem z rodzicami do Starachowic, gdzie ojciec podjął pracę w hucie. Przez wiele lat wychowywałem się w małym miasteczku. Atmosfera małego miasteczka też prze-

niknęła do moich wierszy, opowiadań i powieści. Najczęściej akcja w moich utworach rozgrywa się wśród ludzi zwyczajnych, w dniu powszednim, w otoczeniu codziennych przedmiotów. Oczywiście rzeczą pisarza jest, aby opisując zwykłych ludzi, odkryć coś niezwykłego; żeby przedstawiając powszedniość, pokazać, że kryje się pod nią coś niecodziennego. Rejestracja przejawów naszej codzienności bez zajrzenia w głąb, pod podszewkę, bez odkrycia sprężyn, które nimi kierują, nie może pisarzowi wystarczać. Jego zadaniem jest nasycić powszedniość i



codzienną jakimś głębszymi wartościami. Dlatego w moich utworach za zwykłymi losami ludzi i prozaicznymi sytuacjami kryją się sprawy i motywacje nie do końca odkryte, nie do końca odgadnione, nie do końca nawet uświadomione.

— Po wydaniu zbioru wierszy pt. „Do mojej ziemi” (1936) opublikował pan także tomiki poetyckie, jak: „Arkusz poetycki” (1939), „Nowa ziemia” (1950), „Pejzaże polskie” (1951), „W tym kraju” (1958), „Studia przelotne” (1961), „Swoje i bliskie” (1968). Wojciech Natanson wyraził się, że pańskie wiersze „są przede wszystkim poetyckim notatnikiem doznań”. Jak pan ująłby relację: uczucie — intelekt, zachodząca w pańskich wierszach?

— Literatura posługuje się obrazem. A żeby stworzyć obraz, trzeba odwołać się do przeżycia. A przeżycie gruntuje się do uczucia, na emocji, na wrażeniu, na doznaniu. Oczywiście, kiedy człowiek pisze, zaprzęga, że tak powiem, do pomocy intelekt, żeby treści nadać odpowiednią formę czy szatę, ale podstawową sprawą w liryce jest uczucie. Moim zdaniem, utwór jest wtedy dobry, gdy podczas czytania — wzrusza. Zdarza się niekiedy tak, że czytelnik odbiera wiersz w ten sposób, jakby on był dla niego pisany; trafia w jego osobiste przemyślenia, doznania, wrażenia. To świadczy o głębi przeżycia pisarza, który ten utwór napisał. W odniesieniu do siebie muszę stwierdzić, że absolutnie daję prymat przeżyciu, odpowiednio je przy pomocy środków literackich, a więc intelektualnych, modelując. Są poeci, u których przeważa tzw. podejście rozumowe. Ich wiersze bywają nasycone zimnym intelektem, pewnym chłodem, ale to nie jest literatura, która mnie najbardziej odpowiada.

— Co zatem pan preferuje?

— Kiedyś jeden z krytyków powiedział, że obracam się w kręgu tzw. mitów rodzinnych. To określenie uważam za bardzo trafne. W mojej liryce powtarzają się takie motywy, jak ziemia ojczyzna, dom rodzinny, postać matki, ojca. Te motywy występują nie tylko w mojej liryce, ale także i prozie. Powtórzę zatem, co już wcześniej powiedziałem: dla poety, czy w ogóle pisa-

rza, bardzo wielkie znaczenie ma, skąd pochodzi, z jakiego środowiska wyszedł, jaka jest ziemia, na której się wychował.

— Dlaczego odszedł pan ostatnio od pisania wierszy?

— Rzeczywiście wydają ostatnio znacznie więcej utworów pisanych prozą: szkiców, opowiadań, felietonów, i to może stwarzać wrażenie, że nie zajmuję się już poezją. Ale prawda wygląda inaczej: mimo, że poezji mniej wydaję, to jednak ją piszę. Dowodem na to, iż nie utraciłem z nią kontaktu, jest choćby to, że złożyłem ostatnio w Wydawnictwie Łódzkim tomik poetycki pt. „Wiersze z podróży”. Wiele podróżowałem po Europie i świecie, i jeżeli w jakimś kraju przebywałem dłużej, albo byłem kilkakrotnie, to przeżycia, doświadczenia i obserwacje, wyniesione z pobytu, bardzo często przeradzały się w jakiś utwór poetycki. W ten sposób uzbierało się sporo wierszy, które zostały ujęte wspólnym tytułem „Wiersze z podróży”. Poza tym parę lat temu wydałem duży wybór poezji pt. „Własne i cudze”. W określeniu „własne” zawiera się to, że wiersze są mojego autorstwa, zaś „cudze” oznacza, że dokonałem przekładów z języków obcych. Tak więc optycznie może wyglądać na to, że od wierszy odszedłem, ale faktycznie w dalszym ciągu je piszę.

— Jako prozaik opublikował pan także powieści i zbiory opowiadań, jak: „Opowieść o moim ojcu” (1956), „Sprawa Marcina Piechoty” (1951), „Strumień życia” (1960), „Było to w marcu” (1952), „Potomkowie Tesplisa” (1966), „Dom na wzgórzu” (1968), „Teraz i zawsze” (1968), „Zielone drzewa” (1972), „Wieczór w Café Raimund” (1970), „Gość z daleka” (1982) i inne. Podejmuje pan tematykę wielką, okupacyjną, emigracyjną, artystyczną itd. Skąd ta różnorodność zainteresowań?

— Człowiek jest, jaki jest, to znaczy nie do końca zdaje sobie sprawę, dlaczego ma takie zainteresowania albo dlaczego zachowuje się tak, a nie inaczej. Moją cechą przyrodzoną, objawiającą się od najmłodszych lat, była ciekawość ludzi i świata. Zawsze chciałem jak najwięcej wiedzieć, jak najwięcej poznać ludzi, wszędzie być. Zauważyłem zawsze, że pewne wydarzenia odbywają się w tym samym czasie i nie mogą być przy wszystkich obecny. Tak więc różnorodna skala moich zainteresowań zadecydowała o wielości poruszanych problemów: dlatego zająłem się między innymi tematyką artystyczną (wydałem przecież powieść teatralną i zbiór opowiadań o aktorach i teatrze). To wszystko zrodziło się z mojej ciekawości świata, z zachłannością poznania, doświadczenia, bycia wszędzie tam, gdzie to jest tylko możliwe. Moją twórczość jest wynikiem mojego temperamentu i nie trzeba tu przyznawać wielkich miar intelektualnych.

Niewątpliwie życie nie poskapiło mi rozmaitych przeżyć. Urodziłem się na wsi, potem mieszkałem w małym miasteczku, stąd przeniósłem się do wielkiego miasta, przeżyłem rok 1939, znalazłem się w czasie okupacji na robotach w III Rzeszy, po wojnie pracowałem w dyplomacji, następnie zamieszkałem na Dolnym Śląsku, dalej osiadłem w Łodzi, teraz od kilkunastu lat przebywam w Warszawie. To wszystko razem spowodowało, że stykałem się z bardzo różnymi ludźmi i widziałem bardzo wiele rzeczy. A ponieważ w swojej twórczości odwołuję się do doświadczenia, może to, że życie tak mną pokierowało, a nie inaczej, sprawia wrażenie różnorodności.

— Oceniając wybór pańskich opowiadań pt. „Gość z daleka”, napisałem: „Bez pozbawione byłoby uroku te opowiadania, gdyby nie móg na swój prywatny użytek utożsamiać postaci narratora niekiedy z ich twórcą? Właśnie tej granicy osobistego stosunku pisarza do swojego życia i rzeczywistości kreatywnej nie da się przenowadzić do końca i tak, aby nie uszkodzić delikatnej tkanki materii, z której zostały zbudowane. Przenikają do siebie te dwa światy; ten rzeczywisty i ten wymyślony; aż zostaną uporządkowane w rodzinne zwłaski, które uladzą madra riasade uwrażliwionych, wciągając potrzebę ich zaletalenia; życia.

Wszystko, co będzie mi potrzebne, znalazłem się w tych minutach, bo mogłem wykonać się w życie”. W jakim stopniu podobną twórczość jest — do stylu mojego skrzepienia — „stylizowaniem”?

— Nigdy nie uważałem się za pisarza gabinetowego. Kiedyś Wańkowicz, którego dobrze znałem, powiedział: „Pomóż to jest człowiek adoludny”, to znaczy garnący się do ludzi. Ludzie dostarczają mi impulsu do pisania. Jeśli dodać, że w swojej twórczości odwołuję się do tego, co sam przeżyłem, mogę powiedzieć, iż uprawiam ciągle „stylopisanie”. Naturalnie muszę nadmienić, że nie chodzi mi o fotografowanie życia; wydarzenia, które sam przeżyłem albo byłem ich świadkiem, albo ktoś mi je opowiedział, muszą być przetworzone przez refleksję artystyczną, przepuszczone przez intelekt. Życie musi być sprzymierzona z fikcją, a jakaś realna, poznana kiedyś rzeczywistość i fantazja. W sumie uważam siebie za pisarza mocno osadzonego w realiach, pisarza, któremu najbardziej odpowiada konwencja prozy realistycznej. Jedynym słowem jestem realistą.

— Czy nie swaga pan, że ten punkt widzenia może ograniczać pisarza?

— Nie wiem. Ocena skali doznań i przeżyć bohaterów nie należy do mnie, ale do krytyków i czytelników. Od siebie mogę powiedzieć, że co się tyczy tzw. filozofii pisarskiej, a każdy autor ma jakąś swoją filozofię, to ja najczęściej piszę o ludziach, którzy mają poczucie niespełnienia. Nie znaczy to, że bohaterowie są jacyś sfrustrowani czy skłóceni z losem, nie, oni zdają się tylko mierzyć wyżej, celować dalej, niż mogą, a to im nie wychodzi. Jednocześnie szukam akcentów pogodnych, bo uważam, że na dnie każdej tragedii tli się jakaś iskierka optymizmu, humoru, a na dnie każdego humoru, czy wesołości, znajduje się szlachek jakiejś klęski, jakiegoś dramatu. Te dwa przeciwieństwa staram się ze sobą sprzągnąć. W każdym razie czytelnicy, a mam już tyle lat, że odbyłem wiele spotkań autorskich, zwracając uwagę na pewien ładunek humoru, występujący w mojej prozie. Muszę powiedzieć, że to mnie bardzo cieszy, albowiem nigdy bym nie chciał, aby to, co piszę wprawiało w stan depresji, rozpacz czy całkowitego zwątpienia. Nie, tego bym nie chciał i tak na szczęście chyba nie jest.

— W jednym z wywiadów powiedział pan, że idealny czytelnik pańskich książek powinien odznaczać się poczuciem humoru. Wynika to z tego, jak sądzi, że pan go posiada?

— Lubię humor w życiu i literaturze. Jeszcze kiedy był Włoch, bardzo lubiłem się z nim spotykać. Cenitem nie tylko to, co on pisał, zwłaszcza cykl „Opowieści historyczne: Helena w stroju niedbałym”, ale także uwielbiałem go jako człowieka.

— Wydał pan także tomy szkiców i esejów literackich, jak: „Z południa i północy” (1963), „Ludzie i książki” (1963), „Podróże po bliskiej Europie” (1963), „Dzień powszedni literatury” (1972), „U nas i gdzieś indziej” (1973). Szczególnym zainteresowaniem dąży pan polsko-niemieckie stosunki literackie. Ale stwierdził pan, że prawie obsesyjnie śledzi i rejestruje wszystkie przejawy obecności Polski i jej kultury w świecie. Przybliży pan postaci i światła z literatury austriackiej, szwajcarskiej, jugosłowiańskiej, francuskiej, angielskiej i włoskiej. Gdzie tkwi tajemnica tak wszechstronnych zainteresowań?

— Zamiłowania przejawiane w esejstyce, czy felietonopisarstwie, też biorą się z moich doświadczeń, obserwacji, przeżyć. Jak już wspominałem, po wojnie odbyłem wiele podróży. Będąc w obcym kraju, interesuję się, jak jest tam stan wiedzy o moim kraju. Jeśli mam okazję pobyc w tym kraju dłużej i dokonać szerszych obserwacji, bardzo często odczuwam potrzebę oświadczenia o swoich wrażeniach, doznaniach, obserwacjach. Oczywiście, najgłębiej interesują mnie stosunki polsko-niemieckie. Wziął to się stąd, że po wojnie pracowałem w dyplomacji najpierw w Niemczech Zachodnich, a potem w Berlinie. Jeszcze przed wojną uczyłem się dwóch języków: francuskiego i niemieckiego, ale niemiecki opanowałem lepiej i chciałem z tego zrobić użytek.

Poza prozą i poezją rzeczywiście uprawiam z dużą systematycznością esejstykę i felietonopisarstwo. Choć nie stanowią one głównego nurtu mojej twórczości, nie traktuję ich marginesowo i nie powinienem ich pomniejszać nawet we własnych oczach. Wydałem także książki esejistyczne, jak „Zwyczajnie i po prostu” czy „Jak nas widzą, jak nas piszą”, których tytuły tutaj nie padły. Stanowią one próbe dokazania tego, co dzieje się gdzie indziej, a co u nas, jakie są wzajemne relacje kulturalne, jaki jest stan znajomości

kultury obcej a nas, a naszej gdzieś le-
ższej itd. Od czasu do czasu robię wy-
pady na takie obszary językowe, jak
angielski czy węgierski. W literaturze
węgierskiej zafascynowała mnie po-
stać Ferenc Molnara, znanego u nas
jako autora „Chłopców z Placu Bro-
mi”. Był to jednak także znakomity
dramatopisarz, autor komedii bulwaro-
wych, nowelista i eseiista. Dla odmiany
w literaturze angielskiej bardzo zacie-
kawili mnie Conrad, i jako pisarz, i ja-
ko człowiek.

— Skąd wzięła się pańska znajomość
tytu obcych języków?

— Wychowywałem się u mojego
dziadka. Dziadek powiedział mi tak:
ja tam nie wiem, czy ty masz talent
do języków, czy nie, ale dwóch mu-
szysz się nauczyć koniecznie — języków
naszych sąsiadów: niemieckiego i rosyj-
skiego. Działo się to wtedy, gdy syno-
wie i wnuki byli posłuszni woli dziad-
ka i ojca; dzisiaj ojciec swoje, a syn
swoje. W każdym razie wypełniłem do-
kładnie wolę dziadka, nauczyłem się
dobrze języków: niemieckiego i rosyj-
skiego. Potem opanowałem angielski,
ale nie tak dobrze jak tamte. Skąd
to się wzięło? Też z ciekawości świata,
z chęci poznania i wiedzenia jak naj-
więcej. Nie sądzę, abym posładał wy-
bitny talent lingwistyczny, ale jak się
człowiek do czegoś przyłoży, to opanu-
je.

— Ostatni nurt pańskiego piśmiennictwa mo-
żna zaliczyć do gatunku pamiętnikarskiego.
Czym pan kieruje się w wyborze postaci i
zdarzeń z bogatego pańskiego życia?

— Ścisłe mówiąc, napisałem tylko
jeden tom wspomnień, który nosi tytu-
ł „Przeszłość nie umiera”. Ale można
powiedzieć, że w każdej książce każ-
dego pisarza znajdują się jakieś ele-
menty pamiętnikarskie, autobiogra-
ficzne. Chociaż nie występują one w
czystej postaci, mają rodowód osobisty.
Ponadto lubię w ogóle czytać pamiętni-
ki, zwłaszcza wtedy, gdy ich autorami
są ludzie zasłużeni, ciekawi, bogaci w-
nętrznie. Gdy się osiągnie pewien
wiek, w człowieku budzi się skłonność
do tego, żeby oglądać się wstecz i spi-
sywać swoje wspomnienia. Putrament
zaczął swoje „Pół wieku”, mając pięć-
dziesiąt lat (stąd tytuł). A ja wydałem
swoje wspomnienia „Przeszłość nie u-
miera”, mając grubo po sześćdziesiątce,
czyli dość późno.

„Przeszłość nie umiera” nie obejmuje
wspomnień z całego życia. Noszą podtytu-
ł „Wspomnienia 1945—1980”, a więc
dotyczy tego, co zdarzyło się po woj-
nie. Piszę w tej książce o wszystkim:
o mojej żonie, moich synach, o powro-
cie z Niemiec, pobycie w Łodzi, na Dol-
nym Śląsku, w Warszawie. Piszę o
podróżach zagranicznych, o pisarzach
obcych, których znałem, o twórcach
rodzimych, z którymi się przyjaźniłem.
Jeden rozdział poświęciłem Iwazkiewiczowi,
z którym pracowałem przez
długie lata w Zarządzie Głównym ZLP.
W doborze tematów, postaci i zdarzeń
kierowałem się intensywnością włas-
nych przeżyć.

— Jakże są pańskie zamierzenia twórcze
na najbliższą przyszłość?

— Z całą odpowiedzialnością mogę
mówić tylko o tym, co zrealizowałem.
Niebawem ukaże się tom moich felie-
tonów i esejów „Za miedzą” który tytu-
łem nawiązuje do tego, co dzieje się
u naszych sąsiadów zachodnich. Wkrót-
ce powinien także wyjść wspomniany
tom wierszy „Wiersze z podróży”. W
Wydawnictwie Literackim mam złożony
tom opowiadań pt. „Monolog w starej
gospodzie”, a obecnie przygotowuję
do wydania tom szkiców i felieto-
nów „Czytane w oryginale” które ogła-
szam w drukarni w czasopiśmie. Ten
ostatni zbiór zawierać będzie przegląd
półników, jakie wyszukałem w zagra-
nicznej literaturze. A dodam, że wyszu-
kuję głównie głosy dla naszego kraju
fyczliwe.

— Jakże jest pana nierzrealizowane pra-
gnienie?

— Moja największa objętościowo
książka „Opowieść o moim ojcu” li-
czy 250 stron. Chociaż zdając sobie
sprawę, że to nierealne, chciałbym na-
pisać wielką powieść, dużą objętości-
wo sagę, liczącą 600—700 stron. Zawsze
mi imponowali pisarze którzy pi-
szą grube, opasłe powieści. Kiedy wy-
dałem wspomnienia „Przeszłość nie u-
miera”, niektórzy ze znanych pytali,
dlaczego one takte wzięły? Książka
ma 180 stron. Na to ja odparłem że
po prostu tak pisze, nie potrafię ina-
czej. Jestem, jaki jestem.

Rozmawiał: Stanisław Stanik

Polemiki

O recenzentach i dziczeniu obyczajów

PODSTAWOWĄ treścią naszego życia jest niewy-
koda istnienia. Szarżujemy z dnia na dzień, liczy-
my jakies marne grosze i zapadamy się stop-
niowo w bezkształtna breję miłośności. Książki,
szarety i czasopiśmiennictwo droższe nieustannie. Czytujemy co-
raz mniej. Mówimy i piszemy coraz gorzej. W dzied-
zie i niedostatku szybko postępuje zdziczenie obyczajów.
Hucna i głupstwo łatwo wciskają się do przybytków
sztuki i rażno kroczą poprzez szpalty rozmaitych pism.
Takie smutne refleksje wnoszę w ostatnim czasie z
wizyt w teatrach i z lektury prasy.
W niedawnym numerze sercu memu bliskiej „Kamery” (nr 3,
1988), znajduję recenzję Magdaleny Jankowskiej, mojej następ-
czyni na stołku recenzenta teatralnego „Kamery”. Przyszło mi
ze smutkiem stwierdzić, że ten króciutki tekst pt. „Jedna la-
weczka i dwa niespełnienia” doskonale obrazuje wszystko, o
czym napisałam wyżej. Wiem, że wśród „krytyków” (rozma-
itych dziedzin) coraz mniej zakurzonych bibliotekarzy, którym
chce się przeglądać stare roczniki pism, czytywać książki o te-
atrze, a tym bardziej rozmaite starsze i nowsze sztuki teatralne.
Rozumiem, oczywiście, że jest to zajęcie nudne, niewdzięczne
i szkodliwe przy tym dla zdrowia (kurz biblioteczny). Redakcje
natomiast nie mają zwyczaju wypłacania recenzentom dodatków
za pracę w warunkach szkodliwych. Stąd oczywiście, że niewiele
osób ma jeszcze ochotę na sprawdzanie faktów, dat, tytułów
czy, nie daj Bóg, zapoznawanie się z treścią sztuk teatralnych
albo dorobkiem dramatopisarzy. Wiadomo przecież, że i bez te-
go można ocenić przedstawienie.

Wspomniana recenzja Magdaleny Jankowskiej jest
doskonalem na to dowodem. Omawia przedstawienie
„Laweczki” Gelmana w lubelskim teatrze im. J. Osterwy.
Nie oglądałam tego spektaklu i nie mam, oczywiście, za-
miaru podważać trafności oceny i sadu o nim. Chodzi
mi o sprostowanie faktów. Ale o tym za chwile, bowiem
jedno zdanie, wyjęte z opinii o przedstawieniu, wybor-
nie mnie rozśmieszyło: „Bohaterowie też nie noszą ko-
stiumów teatralnych, ubrani jak na co dzień”. Droga
Pani, pozwól sobie zapytać: cóż to jest „kostium” te-
atralny? zdaniem Pani, Mnie uczono, że jakakolwiek
odzież, która aktor znajdujący się na scenie ma na so-
bie, jest kostiumem teatralnym, niezależnie, czy to kon-
tusz, wiejska zapaska, czy też sukienka bardzo podobna
do tej, w jakiej Pani chodzi po ulicy i jakie zalegają
półki w „Pedecie”. Na scenie wszystko jest kostiumem.
Uczono mnie tego jeszcze w szkole średniej, w drugiej
połowie lat siedemdziesiątych. Ale to wszystko głupstwo,
idzie o rzecz istotniejsza.

Magdalena Jankowska pisze o autorze „Laweczki”,
Aleksandrze Gelmanie: „Nazwisko autora kojarzy się
polskim widzom z głósną w nieodległych czasach sztuka
„Protokół pewnego zebrania partyjnego”, która trafiła
do nas we wczesnych latach osiemdziesiątych, a więc by-
ła aktualna ze swa treścią na fall rozliczeń „góry” i „do-
łu” po zakładach pracy”. W jednym zdaniu zmieszcilo
się kilka głupstw.

Po pierwsze — nazwisko Gelmana, jeżeli w ogóle z
czymś kojarzy się polskim widzom, to nie tylko ze
wspomnianym „Protokołem...”, ale nade wszystko chy-
ba ze sztuka „Samy ze wszystkimi” (druk: „Dialog” 1984,
nr 10), która w polowie lat osiemdziesiątych zyskała
ogromną popularność i grana była (i nadal bywa) na
kilku scenach, choćby w Poznaniu, Kaliszu... Poza tym
wcześniej znane były i wystawiane sztuki Gelmana —
najpierw właśnie „Protokół pewnego zebrania partyje-
go”, potem „Sprzeżenie zwrotne” (1978) i „My niżej pod-

Dla wierszówki?

LARUM o „dziczeniu obyczajów” było już tyle-
kroć podnoszone chociażby przez czolowych fe-
letonistów polskich, że powtórzenie tego sformu-
lowania przez panią Lidie Wójcik na łamach
bliskiej jej sercu „Kamery” przydaje, doprawdy, temu
pisarzu stołecznego blasku „Kultury” czy „Polityki”. Gest
to zaiste wspaniałomyślny.

O ile sama krytyka budzi we mnie cnotę pokory, to dziwi
mnie fakt zastosowania, uogólniającej zjawisko, liczy-
mnożenie, kiedy moja adwersatorka pisze: „zapadamy się stopniowo w
bezkształtna breję miłośności [...] Mówimy i piszemy coraz gor-
zej”. Jednak znacznie łatwiej znieść mi polajankę, kiedy po-
myślę, w jak znacym gronie się znalazłam, gdyż — jak pisze
autorka polemiki — wstyd jej się zrobiło również z powodu
„w ogóle tego wszystkiego, co się obecnie o teatrze pisuje”.
Ostatnia to dla mnie denka ratunku, więc się jej chwytam:
skoro Niemiec intelektualna dopadła wszystkich, to może ja
jestem tylko ofiarą tej epidemii! A swoją drogą kilka piszących
o teatrze osób może się poczuć obrażonych tym generalizowa-
niem.

Skąd ponadto zrozumienie i jakby akceptacja dla stanowiska,
że „przeglądać stare roczniki pism, czytywać książki o teatrze,
a tym bardziej rozmaite starsze i nowsze sztuki teatralne [...] jest
to zajęcie nudne, niewdzięczne i szkodliwe przy tym dla
zdrowia”? Czy własne doświadczenie podpowiada ten sąd, czy
to wynik jakichś badań, może zwierzchnia „krytyka”? Proszę o
śrota. Ja czynię to chętnie i bardzo pilnie śladam do starych
roczników „Kamery”, by studiować dokonania swolch dwu
wielkich poprzedników — Marii Bechzyce-Rudnickiej i Tej, które-
rej nazwisko, zapewne przez skromność zostało pominięte w
łańcuchu najwybitniejszych dokonań krytyki teatralnej w na-
szym mieście. Ale ono się czyta między wierszami.

Autorka reprimendy, z pejemem w miejscu pióra, w
zapale krytycznym stawia w stan oskarżenia również
cała rzeczywistość, w której nie ma już Instytutów dla
Panien Szlachetnie Urodzonych i dwujęzyczności nie wy-
nost się z większości domów. Wic może potraktować
to jako próbę współczującego zrozumienia mnie jako
produktu swoich czasów?

Teraz muszę się trochę pokajać. Jest jasne, że za ten
„kostium teatralny” należy mi się nagana. Fakty mówią
za siebie i ostatecznie tylko one się liczą, nie intencje,
które może skrótowo wwrzbiły cudzoźłów przy tym sło-
wie „kostium” jako synonim wyszukaności, codzienności

„pisan” (1978). Wszystkie drukowane w „Dialogu”, w
przekładzie Jerzego Koeniga, podobnie jak „Laweczka”
(„Dialog”, 1986, nr 4).

Jest więc zwykła nieprawda „świadomość” doniesiona
przez Magdalena Jankowską, że sztuka „Protokół pew-
nego zebrania...” trafiła do nas we wczesnych latach
osiemdziesiątych i że miała w dodatku wówczas jakieś
znaczenie „na fall rozliczeń”. Dramat ten wydrukowany
został w 4 numerze „Dialogu” w roku 1976 i w tym sa-
mym roku był wystawiony w warszawskim Teatrze na
Woli, z udziałem m. in. Tadeusza Łomnickiego. Również
w tym teatrze dwa lata później realizowano gelmanow-
skie „Sprzeżenie zwrotne”. Rok 1976 to jednak, o ile
mi wiadomo, nie sa wczesne lata osiemdziesiąte, a „Pro-
tokół pewnego zebrania” — jak wynika z relacji ówczes-
nych liczących się krytyków — nie brał udziału w żad-
nych sprawach „rozliczeniowych” i brał nawet niebar-
dzo by mógł. Jest to po prostu sztuka produkcyjna (se-
szcze do niedawna w ZSRR powstawało ich wiele), naj-
bardziej chyba schematyczna spośród dramatów Gelma-
na, działająca się w fabrykach i gabinetach, Sztuka o
zwiotrzalej dzisiaj (i już u progu lat osiemdziesiątych
także) wartości publicystycznej.

Stąd jeszcze jednym głupstwem wydaje mi się zdanie
Magdaleny Jankowskiej: „Cała akcja „Laweczki”, upro-
szczona nawet wobec „Protokołu”, ogranicza się do przy-
padkowego spotkania w parku w późny piątkowy wie-
czór dwojga ludzi...” Czyż ilość postaci decyduje o „u-
proszczości” bądź „złożoności” sztuki? W tej chwili
uświadomiłam sobie, że rozumienie sztuk teatralnych i
właściwe ich „wywartościowanie”, nawet w przypadku
tekstów dosyć prostych i łatwo skonstruowanych, jak
wspomniane dramaty, okazuje się umiejętnością wcale
nie powszechną.

Bo przecież „Laweczka” jest nareszcie w dorobku Gel-
mana sztuka, w której autor nie proponuje już tematu
pracy i fabryki jako miejsca akcji (w „Samy ze wszyst-
kimi” częściowo odszedł już od modelu sztuk produkcyj-
nych), a bohaterowie nie stanowią jedynie „osobników
roboczych”, lecz obdarzeni są indywidualnymi charakte-
rami i osobnymi życiorysami. Żeby nie pisać, nie bzdur-
zyć, wystarczy przejrzeć kilka numerów „Dialogu”. Ale
o uciążliwości tego zalecia była już mowa.

Dlaczego ja o tym wszystkim piszę? Nie po to, bynajmniej,
by się czepiać cudzego „pisania”, albo nawet bronić sprawy
sztuk Gelmana. Recenzje teatralne — jak wiadomo — mało kto
czytuje, a tym bardziej nikt nie usiłuje chyba czerpać z nich
wiedzy o teatrze. Chodzi o sprawę większą.
„Kamery” miała w dawnych czasach doskonałą „rubrykę”
teatralną, w epoce twórczości krytycznej Marii Bechzyce-Rud-
nickiej. Niedawno minęła setna rocznica jej urodzin, wspom-
nana i dosyć uroczyste — o ile wiem — obchodzona w Lu-
blinie. Myślałam ostatnio o pani Marii, wspominając spotkanie
z nią, jeszcze w moich czasach studenckich, kiedy przychodziła
na spektakle naszego teatru, Sceny Plastycznej KUL. Przejrza-
łam po raz kolejny parę kartek z tomu „Uchylenie masek” i
wstyd mi się jakoś zrobiło z powodu wspomnianej recenzji z
„Laweczki”, choć nie moim przecież nazwiskiem podpisanej.
Wstyd z powodu w ogóle tego wszystkiego, co się obecnie o
teatrze pisuje. Wiem, że dzisiaj nikt tak pisać nie potrafi jak
pani Maria.

Młodzi recenzenci, wychodowani już w kulturze masowej,
kształceni na ogół byle jak i byle gdzie, nie dorosiliśmy — rzecz
jasna — nigdy do sposobu myślenia, widzenia rzeczywistości,
kultury bycia i kultury pisania ludzi i niedogdyśszego, nie zna-
nego nam już świata, którzy nie pamiętali nawet, że kiedyś
ktoś uczył się języków obcych (dwujęzyczność, jeśli nie wielo-
języczność, wynosiło się po prostu z domu), którzy swoją edu-
kację odbywali — jak Maria Bechzyce-Rudnicka — w Petersburgu
skim Wyższym Instytucie dla Panien Szlachetnie Urodzonych.

Trzeba mieć nam dzisiaj przynajmniej takie ambicje,
by wiedzieć i pamiętać o istnieniu, i dorobku takich
Postaci (taka pamięć może nas ocieić przed zdziczeniem).
I aby zajmowanych po nich „miejsce”, foteli nie profana-
wać ostatecznie swoja niewiedza, ignorancja Dlatego
tekstów Magdaleny Jankowskiej pozwoliłam sobie wy-
prowadzić na ścieżkę wojenna.

Lidia Wójcik

stylizowanej z pewnymi przerysowaniami). Ale to uchy-
bienie byłoby wybacalne przy dobrej woli czytającego,
choć tego nie mogę wymagać.

Nie będę nawet próbowała zrzucać winy na szkołę albo
inne miejsce edukacji, które, co Marxowi Krytyki Te-
atralnej z góry wiadomo, jest byle jakie i „kształci na
ogół byle jak”. Ale też nie zamierzam się tak pokornie
wystawiać na razy. Instynkt samoobrony jednak się we
mnie budzi.

Szanowna Pani, ja nie pisałam eseju o twórczości
Gelmana i nie było dla mnie (i dla sprawy) istotne, kie-
dy sztuka została w Polsce wydrukowana, ale kłki był
jej społeczny rezonans. A ten zyskała, tak naprawdę, we
wskazanym przeze mnie okresie. Wtedy się o „Proto-
kole”, zaprezentowanym przez telewizję, powszechnie
mówiło. Dla niektórych z pewnością było to tylko przy-
pomnienie dramatu, dla wielu pierwszym zetknięciem.
Tym bardziej emocjonującym, że w tamtym klimacie
społeczno-politycznym dał się on odczytać jako obraz
„nas” i „ich”. Wydrukowanie sztuki w „Dialogu” — ni-
mie, bądź co bądź elitarnym, środowiskowym — nie po-
woduje od razu zaistnienia utworu w szerszej świadom-
ości.

Ponadto uważam, że utożsamienie pojęcia „sztuka” z
pojęciem „akcja”, widoczne u mojej polemistki, bardzo
zaciemnia wywód, o ile nie czyni go bezprzedmiot-
wym. Stąd też sformułowanie „akcja unroszczona (wzrost-
dem czegoś)” nie może być rozumiane jako unroszczenie
sztuki w ogóle, w nieortatorywnym znaczeniu słowa. Chy-
ba nie należy mylić oceny konstrukcji dramatu z oceną
jego wartości. Choć często się determinują, to nie tak
jednoznacznie.

W pozostałych kwestiach jesteśmy zgodne. Rzeczywi-
ście „szarżujemy z dnia na dzień, liczymy jakies marne
grosze”, bo gdyby było inaczej, wystarczyłoby zwiezić
wytknięcie mi przez Krytyka z Warszawy oczywistego
bledu w miejsce sztucznie rozdmuchanej w wielu nar-
tiach polemiki. Ta „wata” to dla wierszówki, prawda?

Magdalena Jankowska

P.S. W recenzji z „Laweczki” mylnie podałam operację się-
na pierwotnej wersji programu przedstawienia, nazwisko sceno-
gra, którym faktycznie jest Ireneusz Salwa. Za nie zawinione
przeze mnie uchybienie — przepraszam.

Prawda nie zaszkodzi socjalizmowi

Dokończeni ze str. 1

talera, jak dotąd, żadnego programu partyjnego, który próbowałby wybiec bardziej w przyszłość, zobaczyć kompleksowo, jak będzie wyglądało społeczeństwo socjalistyczne w nadchodzącym stuleciu. Socjalizm powinien tymczasem wychodzić naprzeciw wszystkim nowoczesnym trendom. Wiąże się to wszakże z problemem otwarcia.

W tym względzie mam sporo do zarzucenia naszym decydom. Mówi się, że robimy obecnie wielki krok w tym kierunku, a ja osobiście uważam, że to są dopiero małe kroczki. A przecież otwarcie krajów socjalistycznych na dialog, samokrytyczne patrzenie na własne ułomności to dla socjalizmu ogromne argumenty. Wytrącają one rację i paraliżują działania propagandowe iego wewnętrznych i zewnętrznych przeciwników. Należy więc skończyć z ustawiczną obawą, że prawda godzi w trwałość ustroju. Jest wręcz odwrotnie. Brak rzetelnych informacji zawsze powoduje osadzenie się w społecznej świadomości różnego rodzaju mitów i pomówień. Nazywam je mianami „kawiarniasymi”. Mimo niefrasobliwej nazwy są to schematy bardzo eroźne. Powodują one bowiem zastawienie społeczeństwa na coś, co w praktyce nie istnieje, co utrzymuje się jedynie w świadomości Diatego, mimo siedemnastu lat spędzonych w Polsce, nie potrafiłbym na przykład określić polskiej „duży”. Wciąż nie wszystko tu rozumiem.

— A może to wstrząsy dziejowe naszego stulecia zagmatwały dodatkowo polską „duży”. Potencjał sprawczy narodu wciąż doznawał wstrząsów...

— Pewnie zabrzmi to jak herezja, ale osobiście uważam, że największe straty poniosła Polska wskutek sporów ideologicznych. Nie mam tu na myśli rzecz jasna, eksterminacji fizycznej, choć i ją także. Spójrzmy dla przykładu na okres najnowszy: generał

Jaruzelski i inni polscy przywódcy mówią, że wyciągają rękę do każdego, kto chce włączyć się w proces odnowy. Ale czy to wystarczy?

Uważam, że spora część polskiej lewicy przyjęła i nadal zachowuje postawę wyczekująca. Faktem jest, że nie świadczy to o niej dobrze, gdyż dla mnie lewicowiec zawsze kojarzył się z rewolucjonistą, z człowiekiem czynu. Oni zaś poddali się beznadziejności i bierności. Swoje żale wyrażają nad kawiarnianym stolikiem. A przecież tych ludzi ogromnie szkoda. Czy ich doświadczenia i dotychczasowy dorobek są dla partii bezużyteczne?

Należałoby chyba skończyć z praktykowaną u nas zasadą całościowych „zmian warty”, wyrzucania poprzednich ekip od razu na śmietnik. Sprawa rozliczenia to jedna kwestia, a kontynuacji pozytywów — druga. Współ z ogromną rzeszą mądrych, uczciwych komunistów, zlikwidowanych w Polsce przed wojną, w czasie jej trwania i w okresie stalinowskim, oznacza to niepowetowaną stratę dla polskiego ruchu robotniczego. Polska weszła na drogę budowy socjalizmu pozbawiona praktycznie ludzi, którzy tworzyli idee polskiego socjalizmu. Podobna sytuacja ma zresztą swoje odniesienie także do komunistów jugosłowiańskich. I oni padali w „czystkach”, ale dzięki Josipowi Brozowi Titu w 1937 roku uchroniono przynajmniej partię przed rozwiązaniem.

— Skoro wspominał pan to nazwisko, chciałbym poznać pańską opinię na temat roli jednostki w historii.

— No tak, to się w pewien sposób automatycznie narzuca. Jestem marksista i uważam, że roli tej nie należy przeceniać. Wielkie jednostki są formowane przez wielkie wydarzenia dziejowe, a nie na odwrót. Przecież to nie jednostki stanowiły siłę sprawczą wojen czy rewolucji, choć miały w nich bez watoienia swój znaczący udział.

Na przykład Michaił Gorbaczow nie jest także, wbrew pozorom, wyjątkiem od tej reguły. Jakość obecnych zmian w ZSRR ma charakter rewolucyjny. Społeczeństwo dojrzało do takich przemian, a więc dojrzało także do takiego przywódcy. A Jan XXIII? To przecież rewolucja w Kościele, to II Sobór Watykański.



Ilija Marinković

Sadze, że nasz czas, czas ostrego ścierania się idei, wyprodukuje również także wielkie indywidualności, które na trwałe przejdą do historii. Takie osobowości muszą być jednak obecnie wkomponowane w nieodwracalny proces demokratyzacji, kolegialności w sprawowaniu władzy. A to zagadnienie niezwykle skomplikowane. Nie zapominajmy także o odpowiedzialności jednostek za częste powikłania praktyczne koncepcji, które wypracowywały. To się w historii niejednokrotnie zdarzało.

— A jednak marszałek Tito zajmuje szczególne miejsce w sercach Jugosłowian.

— Tak, ale jego mądrość polityczna widoczna była także w stopniowym przygotowywaniu miejsca swoim następcom. Tito mądrze i z godnością odchodził. Pod koniec swego życia zachował przecież niemal wyłącznie funkcje reprezentacyjne. A przedtem niezwykle umiejętnie przygotowywał pole pod rządy kolegialne, wiedząc, że taka będzie konieczność nowej chwili. To przykład ogromnej intuicji politycznej i umiejętności podporządkowania się idei, bez utraty osobistego autorytetu.

— A co pan sądzi o generale Jaruzelskim?

— Myślę, że jest on przywódcą, któ-

ry doskonale orientuje się we współczesnym świecie. Jest przy tym człowiekiem naturalnym i posiadającym określoną osobowość. Jego czynny wynikania z jego orzekania. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Posiada on także jasną wizję tego, co należałoby w Polsce zrobić. Ale tutaj właśnie zaczynała się kłopoty. Uważam bowiem, że generał Jaruzelski swoim nastawieniem wyprzedza trochę rzeczywistość, obiektywnie istniejące warunki. Odnoszę wrażenie, że nie do końca znajduje on zrozumienie wśród kadry partyjnej i to może bardziej tej średniej, terenowej, niż tej najwyższej. Świadomy jestem także pewnego dramatu, jak stwarza mu obecna sytuacja. Z jednej strony jest on zwolennikiem szeroko pojętej demokratyzacji, a z drugiej zaś stan polskiej gospodarki wymaga działań radykalnych, zdecydowanych, często nawet autorytarnych. Stąd analizując tego przemówienia, niekiedy natrafiam w nich na elementy gorczy, irytacji powolnym tempem realizowania żywotnych dla kraju przemian. A przecież on sam jest wzorem pracowitości i zaangażowania. Nie wolno także zapominać o wyjątkowo trudnej drodze, jaką musiał przebyć w budowaniu osobistego autorytetu.

— Porozmawiajmy może teraz trochę o polsko-jugosłowiańskich związkach. Wydają mi się one bowiem kontaktami bardziej komercyjnymi, turystycznymi, niż wspartymi wzajemną chęcią głębszego poznania się czy zrozumienia.

— Sadze, że jest w tym sporo racji. A przyczyna takiego stanu rzeczy tkwi w schematyzmie patrzenia na aktualny stan życia w naszych krajach. Dotyczy to nawet bardziej Polski niż Jugosławii. Wina leży po stronie niewłaściwego przepływu informacji. Postaram się to dokładniej sroczyc. Otóż, z jednej strony my, dziennikarze jugosłowiańscy, relacjonując sprawy polskie, nie pomijamy rzeczy trudnych czy bolesnych. I uczciwie mówiąc kierujemy się w takim działaniu nie interesem Polski, lecz interesem Jugosławii. Polska była przecież niedawno bardzo ważnym polizonom, ta wichura, która przetoczyła się przez nasz kraj, stanowi wielkie doświadczenie dla wszystkich krajów socjalistycznych. Czy zaciemnianie tych doświadczeń miałyby sens? Natomiast patrząc w kierunku odwrotnym, zakres informowania społeczeństwa polskiego o tym, co dzieje się w Jugosławii, wciąż pozostaje szczałkowy i wrywkowy.

Rewolucje rosyjskie a sprawa polska

ciąg dalszy ze str. 3

Partii Konstytucyjnych Demokratów (kadeci) oraz Związku 17 Października (październikowcy). Premierem został książę Jerzy Lwow.

Która z tych orientacji miała realniejszą perspektywę? Ta na Radę czy też ta na Rząd Tymczasowy? Odpowiedź jest niezmiernie trudna. Wydaje się jednak, że ani jedna, ani druga. Żadna z nich nie gwarantowała bowiem odzyskania przez Polskę niepodległości. Spróbujmy uzasadnić to stanowisko, poczynając od Rady Piotrogrodzkiej.

Otóż po pierwsze, Rada ta, posiadająca bezpośrednio po rewolucji realną władzę, z upływem czasu traciła coraz bardziej na rzecz Rządu Tymczasowego. Tym samym jej wpływ na wydarzenia w kraju systematycznie maleje. Od lipca jest on już faktycznie minimalny. Traci więc Rada także wpływ na sposób rozwiązywania sprawy polskiej.

Po drugie, posiadający większość w Radzie eserowcy i mieniszewicy przed rewolucją opowiadali się co prawda za prawem Polaków do niepodległego państwa, wiele jednak wskazuje na to, iż teoria rozmięła się tu z praktyką. Dowodzi tego dualność mini-

strów eserowskich i mieniszewickich w Rządzie Tymczasowym, w którego skład weszli w maju 1917 r. Wbrew szumnym zapowiedziom, że „przedstawiciele Rady wchodzą do Rządu nie jako »jeńcy burżuazji«, lecz jako przedstawiciele potężnej instytucji ludowej i by kierować Rząd na nowe pozycje”, w rzeczywistości okazali się oni jednak „jeńcami burżuazji”. Nigdy nie potrafili wyswobodzić się spod jej wpływów i w zasadzie, jako ministrowie, nie próbowali nawet forsować swoich koncepcji rozwiązania kwestii polskiej.

Zasluga Rady Piotrogrodzkiej było przede wszystkim to, iż postawiła ona sprawę polską na porządku dziennym i zmusiła innych do zabrania głosu na ten temat. Otóż 27 III 1917 r. ogłosiła ona orędzie do narodu polskiego, w którym uznała jego całkowite i bezwarunkowe prawo do niepodległości i własnego, niezawisłego państwa.

Orędzie spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem ludności polskiej w Rosji, a także z przychylnymi komentarzami w środowisku demokracji rosyjskiej. Zdopingowało wreszcie Rząd Tymczasowy do przyspieszenia prac nad własną deklaracją w sprawie polskiej. I to są w zasadzie wszystkie zasługi Rady Piotrogrodzkiej. Jednocześnie ich ocena jest trudna. Wydaje się jednak, że historiografia polska często przecenia je, a już szczególnie znaczenie orędzia, co jest wynikiem wyraźnych tendencji do przeciwsta-

wiania orędzia Rady Piotrogrodzkiej odezwie Rządu Tymczasowego.

By lepiej z kolei zrozumieć stanowisko Rządu Tymczasowego w sprawie polskiej, należy zdać sobie sprawę ze składu tego organu władzy. Początkowo miał on jednoznacznie burżuazyjny charakter. Tworzyli go przede wszystkim kadeci oraz październikowcy. Od maja 1917 r., jak już wspomniano wyżej, weszli doń również mieniszewicy i eserowcy. Mimo to dominacja kadetów była ciągle wyraźna. Poza mieniszewikami i eserowcami żadne z tych ugrupowań nie opowiadało się przed rewolucją za niepodległość Polski. Kadeci np. popierali i to często jedynie taktycznie, propozycje przyznania Polakom tylko autonomii. Trudno więc było oczekiwać, że rząd w takim składzie opowie się z własnej woli za przyznaniem Polsce niepodległości.

Początkowo też nie miał takiego zamiaru. Dowodzi tego poufna rozmowa ministra spraw zagranicznych, jednocześnie lidera kadetów, Pawła Milukowa z ambasadorem brytyjskim Georgem Buchananiem. Milukow stwierdził wówczas szczerze, że „jest stanowczo przeciwny zarówno niepodległości, jak i odrębnemu wojsku, uważa, że Polska powinna być autonomiczna i posiadać wojsko terytorialne, które będzie składową częścią armii rosyjskiej”.

Naciski Polaków, delikatne sugestie rządu angielskiego i wreszcie orędzie Rady Piotrogrodzkiej zmusiły Rząd Tymczasowy do wypowiedzenia się w sprawie polskiej. 30 III 1917 r. ogłosił on odezwę „Do Polaków”, w której czytamy m. in.: „Naród rosyjski, który zrzucił jarzmo, uznaje także najzupełniejszą prawo narodu polskiego do samodzielnego decydowania o swych losach. [...] Rząd Tymczasowy za pewną gwarancję trwałego pokoju w przyszłej odnowionej Europie uważa stwo-

wienie niepodległego państwa polskiego, utworzonego ze wszystkich ziem zamieszkałych przez ludność polską. Połączone z Rosją wolnym sojuszem wotuskowym państwo polskie będzie mocną tamą przeciw naporowi mocarstw centralnych na Słowiańszczyznę”.

Odezwa Rządu Tymczasowego posiadała swoją wymowę. Nikt dotąd w Rosji, poza Radą Piotrogrodzką, nie wypowiedział się tak wyczerpująco i jednoznacznie w sprawie niepodległości i zjednoczenia Polski. Żaden też rząd ani mając stanu z państw zachodnich i centralnych nie wyrzekł dotąd podobnych słów. Był to wreszcie akt rządowy, z którym liczone się nie tylko w Rosji, lecz i poza nią, gdyż miał wymowę o randze międzynarodowej. Odezwa spowodowała ponadto, że sojusznicy Rosji mogli wreszcie przerwać milczenie w sprawie polskiej.

Faktem jest jednak, że nie wszyscy członkowie Rządu Tymczasowego aprobowali jej treść. Niektórzy traktowali ją jedynie jako posunięcie taktyczne. Zdawali sobie wszak sprawę z tego, iż problem powstania niepodległego państwa polskiego może być aktualny dopiero po zakończeniu wojny, na co się wówczas jeszcze nie zanosiło.

Rząd Tymczasowy w ciągu swej niemal ośmiomiesięcznej kadencji niewiele uczynił praktycznego dla rozwiązania sprawy polskiej. Fakt, że jego możliwości były ograniczone, że nie wszystko zależało wyłącznie od niego. Wreszcie — osiem miesięcy to przecież bardzo krótki okres. A jednak nie zrobił wszystkiego, co mógł spełnić z powodzeniem i bez opieszałości. Był to m. in. rezultat zdużeń i nadziei związanych z Polską. Nadal członkowie politycy rosyjscy, zwłaszcza kadeci i październikowcy, marzyli o tym, by jakieś związanie Polskę z Rosją. Nadal ich pragnieniem było zachowanie „jednej i niepodzielnej Rosji”.

Nie oznacza to jednak, by Rząd Tymczasowy lekceważył problem pol-

— Ostatnio czytałem w „Polityce” dość obszerny i wnikliwy artykuł o sytuacji w pańskim kraju.

— Tak, ale sa to wypadki sporadyczne. Jeśli ja dowiaduje się z belgradzkiego radia, że w Jugosławii mała miejsce dramatyczne wydarzenia, że pada na przykład, całe kierownictwo belgradzkiego Komitetu Związku Komunistów Jugosławii i nie znajduje o tym rzeczowych komentarzy w polskiej prasie, uważam to za rzecz bardzo bolesna. Nie interesuje mnie przy tym, co na ten temat ma do powiedzenia prasa zachodnia. Wiem bowiem, że żywi ona do nas taki sam stosunek jak do Polski i będzie szukała głównie elementów sensacji i niewykłóści. Interesuje mnie natomiast, co sadza o tych wydarzeniach obserwatorzy z krajów socjalistycznych.

I nie jest to tylko kwestia stosunku prasy polskiej do Jugosławii. Obecnie widoczne są w tym względzie pewne nowe tendencje, ale dotychczas także w pisaniu o polskich sojusznikach obowiązywały te same schematy. Dominowała tu wsydliwość zupełnej niezasadnionej zasady pominięcia wspólnych kłopotów, trudności czy wynaturzeń. Relacje o sytuacji wewnątrz obozu były gładkie, przybierały formy oficjalnych komunikatów i faworyzowały jako pozbawione żywej treści. Czy w ten sposób społeczeństwa otrzymywały rzetelną porcję informacji o aktualnej rzeczywistości? Doświadczenie tymczasem pokazało, że o losach socjalizmu decyduje głównie średni aktyw partyjny. Gremia kierownicze otrzymują i tak swoją porcję wiadomości ze źródeł specjalnych. Ale skąd mają ją czerpać szeregowi działacze i członkowie partii? Niestety, nie znajdują ich „nałęczyciele” w „Trybunie Ludu” czy „Życiu Warszawy”. Jak zatem mają sobie oni wyrobić własny osąd o prawdziwej kondycji ustroju. Naikróćce! mówiąc, pozbawia się ich możliwości dokonania porównań i analizy zagrożeń.

Taki schematyzm w informowaniu sprzyja także tworzeniu nieprawdziwych stereotypów, jak choćby ten rozpowszechniony tu przekonanie, że Jugosławia to w istocie kraj kapitalistyczny. A prywatnie powiem panu, że możliwości sektora nieuspołecznionego są u nas o wiele bardziej ograniczone niż w Polsce, partia posiada w pewnych dziedzinach życia o wiele bardziej zdecydowany wpływ na bieg wydarzeń, a sytuacji na przykład Kościoła w Polsce zupełnie nie sposób zrozumieć. Takie podtrzymywanie

szkodliwych mitów może stwarzać wrażenie quasi-przyjaźni. Jest to zjawisko bardzo bolesne. Jeszcze raz chciałbym więc podkreślić, że prawda nie szkodzi socjalizmowi.

— W naszym kraju toczą się ciężkie spory o polskie racje historyczne, o nasze miejsce we współczesnej Europie i świecie...

— Wie pan, ja mam swoją własną teorię na temat niekończących się dysput, tych rozważań, czy Polska jest krajem zachodnim, czy wschodnim, zaściankowym czy kosmopolitycznym. Uważam takie dywagacje za zupełnie pozbawione sensu. Przecież nie trzeba szukać żadnych dowodów na fakt, iż Polska jest ważnym krajem w Europie, że na samym szczycie światowego dorobku kulturowego znalazło się wielu Polaków. Dziwią mnie więc te niezrozumiałe polskie kompleksy. Pretensje o nie kieruję głównie do polskiej inteligencji. Jest to warstwa społeczna, która w ferworze jałowych dyskusji coraz mniej robi, aby to oczywiste miejsce Polski w świecie podtrzymać. I dotyczy to nie tylko elity twórczej, ale także kadry technicznej, ekonomicznej itd. To ogromnie egoistyczna, pasywna kasta ludzi, zamknięta od dawna we własnych enklawach towarzyskich bądź w czterech ścianach swoich domów.

Byłem ostatnio na warszawskiej wystawie komputerowej. Taką komputer to świetny partner dla wspomnianych powyżej osobników. Można z nim zrobić wszystko bez ryzyka rewanzu. Cały ten ogromny boom na sprzęt elektroniczny tłumaczył sobie ludzka reakcją, podobną do tej, która towarzyszyła powstaniu telewizji. Wielu ludziom do dziś wystarcza ona jako jedyny, realny kontakt ze światem. Czyż to nie przykład ucieczki od dramatyzmu życia? Czy to nie przykład braku odpowiedzialności za swój czas?

Niech pan rozejrzy się po Warszawie. Wypowiadałem te słowa z ogromną przykrością, ale w tym mieście od wielu już lat nie dokonano żadnego aktu upamiętniającego w jakis sposób dorobek najnowszych pokoleń. Samo miasto cichnie z roku na rok, pogrąża się w bezruchu. Zastanawia mnie przy tej okazji fakt, że kraj tak kulturalny jak Polska nie wykorzystuje takiej szansy, jak choćby budowa Biblioteki Narodowej. Raz na sto czy dwieście lat trzeba przecież wyrazić piękno swoich czasów. Czy mają po nich pozostać tylko jednakowe, pozbawione wyrazu kamienne pudełka?

I znowu ktoś się odezwie, że to вина systemu, że to sprawa władzy. Nie.

Nikt mnie nie przekona, że taka ogromna siła twórców, pianistów, architektów nie jest w stanie pokonać bariery biurokracji czy oporów administracyjnych. To po prostu zwykły przejaw wygodnictwa, ignorowania interesu ogólnego, szerszego, pozaosobistego. Polska stolica wygląda dzisiaj jak miasto z dziewiętnastego wieku, odarte wszelkie z ówczesnego uroku.

Warto byłoby spytać te rzesze narzekających na los obywateli, co sami zrobili, by los ten odmienić. Jeśli sądzą, że posiadanie video stanowi bilet do wielkiego świata, to są w ogromnym błędzie. Byłem niedawno na Węgrzech, w kraju, gdzie ludzie także mają podobne kłopoty co tutaj, też mogą odczuwać rozgoryczenie z powodu wielu niedogodności życia, a jak wygląda Budapeszt? Zastanawiam się z goryczą, czy w Polsce w ogóle nie zniknęło już poczucie interesu narodowego. Wydaje mi się, że po siedemnastu latach pobytu w naszym kraju uzyskałem prawo do wyrażania podobnej troski.

— Może drugi etap reformy będzie jakimś panaceum na taki stan rzeczy? Może wyzwoli na powrót społeczną przedsiębiorczość? Jakie widzi pan szanse powodzenia tych przemian?

— Wiem, że może zabrzmieć to prowokacyjnie, ale brak mi w polskim programie gospodarczym rzetelnej teoretycznej podbudowy. Odważnego postawienia na jedną klarowną koncepcję. Jestem komunistą i dlatego podstawowa dla mnie kwestia to jasne określenie, co jest socjalizmem, a co przestaje nim być. Cenię akurat to, że związki zawodowe w Polsce przypominają od czasu do czasu o nadrzędnym interesie społecznym. Nie można dla potrzeb chwili zapominać o pryncypalach. Osobiście przywiązuję ogromną wagę do sprawy samorządu, a w Polsce brak mi właściwie jasnego określenia tego, czym jest i czym ma być samorząd oraz jak ma on funkcjonować w strukturze państwa. W Jugosławii mamy przynajmniej tę kwestię jasno sprecyzowaną. Sprawa, jak jest ona realizowana w praktyce, to zagadnienie odrębne. Nie chcę przy tym, w żadnym wypadku, narzucać jakichś swoich koncepcji. Uważam tylko, że czy to w kwestii samorządu, czy w organizacji rynku należy wyraźnie powiedzieć: „To i to będziemy realizowali konsekwentnie”. Bez żadnych „ale”.

Ponadto kluczowym zagadnieniem dla reform we wszystkich krajach socjalistycznych jest, moim zdaniem, zagadnienie własności. Być może, że jestem w tym względzie dogmatykiem,

ale sądzę, że nie do końca zrealizowano u nas kategorię własności społecznej. Gdzie podziały się działania zmierzające w kierunku przekształcenia robotników, że przedsiębiorstwo to ich własność? Ale tego nie można robić słowami. Musi powstać cały zespół mechanizmów, który tak właśnie tę kwestię ustawi. A przede wszystkim robotnik musi odczuć to na podstawie zawartości własnej kieszeni. Cóż z tego, że wykupi on akcje wiejskiego przedsiębiorstwa bądź że na kupienie akcji dobrego stać będzie trzydziści procent pracowników? A co z pozostałymi siedemdziesięcioma? Nadal będą pracować wiejsko. System finansowej motywacji i zasad wynagradzania nie może być wyrwykowy ani szczytkowy. Musi stanowić część kompleksowej całości. I nie mogą tu obowiązywać żadne ograniczenia. Tymczasem odnoszę wrażenie, że nagle usiłujemy sprowadzić nasze zasady ekonomiczne do najbardziej prymitywnych założeń dziewiętnastowiecznego kapitalizmu. Na przykład wszystko ma uratować, powiadamy, wolny rynek. To naprawdę nieporozumienie. Nie wolno przekreślić lekką ręką własnego dorobku.

— Czy zechciałby pan na koniec powiedzieć coś więcej o sobie: o swojej rodzinie, o swoich zainteresowaniach, o pasjach pozazawodowych.

— Jestem żonaty z Polką i mam wspaniałą siedmiomiesięczną córeczkę. Ponadto w wolnym czasie zajmuję się dorywczo malarstwem i pisaniami poezji. Jestem z natury domatorem. W pracy zawodowej cenię sobie działalność bardziej studyjną, analityczną, niż bieganie na lotnisko, gdy spadają samoloty. Czekam także także prace nad kolejnymi książkami. Znajdzie się w nich także próba rozpracowania tematów polskich. Już jestem autorem dwóch książek „polskich”. W połowie lat siedemdziesiątych na rynku jugosłowiańskim ukazała się moja publikacja dotycząca „Enigmy”, powstała na bazie rozmów z inżynierem Rejewskim, bohaterem tych sensacyjnych wydarzeń. W ubiegłym roku wydałem z kolei w Polsce książkę „Przez trzy granice”, napisaną wspólnie z Cezarym Leżeńskim. Rzecz dotyczy polsko-jugosłowiańskich związków w najdłuższych dramatycznych dla obu narodów momentach dziejowych, zwłaszcza w okresie II wojny światowej. Wciąż wszakże zagadnienia waszego kraju drażnią na nowo moją inspirację.

— Dziękuję panu serdecznie za rozmowę.

Rozmawiał:

Wiesław Horabik

ski. Wprost przeciwnie, traktował go poważnie. Można nawet powiedzieć, że sprawa polska zajmowała w jego polityce odrębne miejsce. Przecież w końcu tylko Polakom przyznał prawo do niepodległego państwa. Uczynił to raczej ze względów taktycznych, ale jednak tylko wobec Polaków. Konsekwentnie opowiadał się za zjednoczeniem ziem polskich. Prawdopodobnie bez większych oporów przyznałby im autonomię. Broniłby się natomiast przed przyznaniem niepodległości. Wydaje się więc, że gdyby w konferencji wersalskiej wzięli udział przedstawiciele Rządu Tymczasowego, sprawa Polski byłaby jedną z najtrudniejszych do rozwiązania. I wcale nie musiałaby zostać rozwiązana po myśli Polaków.

25 X 1917 r., w wyniku zwycięstwa rewolucji socjalistycznej, władzę w Rosji przejęli bolszewicy. Miało to dla sprawy polskiej poważne znaczenie. Po pierwsze, obalenie władzy Rządu Tymczasowego oznaczało usunięcie ze sceny historycznej — Rosji, partnera i sojusznika Francji i Anglii, tj. krajów, na które Polacy zawsze liczyli, a które podporządkowywały swoją politykę polską potrzebom sojuszu z Piotrogodem. Obecnie państwa te zyskały wolną rękę w sprawie polskiej.

Po drugie, kolejna siła polityczna Rosji zyskała możliwość wprowadzenia w życie deklarowanego wcześniej programu. Także tej jego części, która dotyczyła kwestii narodowej, a więc i polskiej. A była to siła, która do tej pory zajmowała najbardziej konsekwentne stanowisko w sprawie polskiej. Jej przywódca, Włodzimierz Lenin, swoje poglądy na kwestię polską przedstawił już na wiele lat przed wybuchem wojny światowej. Znalazło to wyraz m. in. w opublikowanej w 1903 roku pracy „Kwestia narodowa w naszym programie”. Jego wyjściowa teza głosiła, że nie ma wolności Polski bez wolności Rosji i że konsekwencją rewolucji proletariackiej w Rosji będzie

odzyskanie niepodległości i utworzenie zjednoczonej Polski.

Tu należy jednak wyjaśnić kilka spraw. Jedną z nich jest to, że opowiadając się za prawem narodów zamieszkujących imperium rosyjskie do samookreślenia, Lenin wcale nie należał do zwolenników rozbitcia Rosji na drobne państwa narodowe. Wprost przeciwnie, uważał, że duże państwa mają większe szanse rozwoju. Dlatego do lata 1917 roku bronił koncepcji, wedle której Rosja socjalistyczna miała być państwem scentralizowanym, w którym wszystkie narody byłyby równouprawnione. Jeszcze w 1915 roku pisał: „Żądamy swobody samookreślenia, tj. niepodległości, tj. swobody oderwania się narodów uciskanych, nie dlatego, byśmy marzyli o gospodarczym rozdrobnieniu lub o ideale małych państw, lecz przeciwnie, dlatego, że chcemy wielkich państw i zbliżenia, a nawet zlania się narodów, ale na prawdziwie demokratycznej bazie, która jest nie do pomyślenia bez swobody oderwania się”.

Dopiero nasilający się po rewolucji ruch narodowy w Rosji skłonił Lenina do zrewidowania swego poglądu na państwo wielonarodowe. Uznał zasadę federacyjną, którą odrzucał wcześniej, jako „słabszą jedność”. W czerwcu 1917 roku stwierdził: „Wielkoruski proponują wszystkim narodom braterski sojusz i utworzenie wspólnego państwa na podstawach dobrowolnej zgody każdego narodu, w żaden zaś sposób nie przez stosowanie przemocy bezpośredniej lub pośredniej”.

W praktyce stanowisko to odnośnie Polski i jej przyszłości sprowadzało się do tego, że jeżeli Polacy postanowią oderwać się od Rosji, to mają do tego prawo i nikt im w tym nie powinien przeszkadzać. Nie będą tego czynili tym bardziej bolszewicy, aczkolwiek woleliby gdyby Polacy pozostali w ramach państwa rosyjskiego. Decyzja należy jednak do Polaków.

Lenin i bolszewicy zawsze wiązali też problem prawa narodów do samookreślenia z rewolucją socjalistyczną. I to właśnie jej podporządkowywali kwestię narodową. Nie chodziło im tylko o uznanie niepodległości tego czy innego narodu, lecz o rozwiązanie problemu narodowego w interesie walki rewolucyjnej. Lenin zalecał również stosowanie oceny historycznej i klasowej przy rozpatrywaniu kwestii narodowej. Uważał, że sprawa oddzielenia się danego narodu zawsze powinna być rozważana w powiązaniu ze stopniem jego rozwoju. Chodziło bowiem Leninowi o zapewnienie ochrony interesów tej klasy danego narodu, która na określonym etapie stanowiła klasę najbardziej postępową.

Wreszcie należy zdać sobie sprawę z faktu, iż nie wszyscy bolszewicy popierali stanowisko Lenina w kwestii narodowej. Uwidoczniło się to np. podczas obrad VII Konferencji SDPRR(b), które miały miejsce w kwietniu 1917 r. Zabierając na niej głos, Giorgij Piatkow sprzeciwił się przyjmowaniu do programu partii hasła prawa narodów do samookreślenia. Inni bolszewicy pojmowali z kolei sens tego hasła w ten sposób, że to jedynie proletariát danego narodu powinien się samookreślać, decydować o ewentualnym oderwaniu się od Rosji. A więc nie cały naród, lecz tylko jedna klasa.

Na wspomnianej konferencji głos zabierał oczywiście także Lenin. Ustosunkował się m. in. bardzo krytycznie do odezwę Rządu Tymczasowego. Wydaje się, że aż nazbyt. Zarzucał autorom odezwę niekonsekwentność i polowiczność, a najwięcej zastrzeżeń budziła w nim zmianka o wolnym sojuszu wojskowym przyszłej Polski z Rosją. Napisał — mówił Lenin — że Polska powinna znajdować się w wolnym sojuszu wojskowym z Rosją. Właśnie w tych trzech słowach zawarta jest cała prawda Wolny sojusz wojskowy małej polski i ogromna

Rosją, jest w rzeczywistości całkowitym militarnym ujarzmieniem Polski”.

Wydaje się, że większą wartość posiada inna uwaga Lenina zgłoszona w związku z odezwą. Otóż doszedł on do wniosku, że sprawa wolnego sojuszu z Rosją może być rozstrzygnięta tylko przez naród polski, zaś dla określenia jego woli niezbędne jest wycofanie obcych wojsk i przeprowadzenie rzeczywiste wolnego referendum, i to nie tylko wśród ludności zaboru rosyjskiego, ale również na obszarze zaboru niemieckiego i austriackiego.

Zdobywszy władzę, bolszewicy stanęli przed zadaniem wprowadzenia swych zasad w życie. I należy przyznać, że zrozumieli oni znaczenie tego faktu. Nie popełnili błędów swych poprzedników, którzy co innego deklarowali, a co innego robili, będąc u władzy. Dlatego też od początku bolszewicy zajmują zdecydowane stanowisko w kwestii narodowej. Wyrazem tego było uchwalenie „Dekretu o Pokoju” oraz „Deklaracji Praw Narodów Rosji”.

Obydwa te dokumenty nie dotyczyły bezpośrednio problemu polskiego. Miały jednak dla niego ważne znaczenie. I tak sformułowania „Dekretu o Pokoju” w wypadku Polski rodziły dwie istotne konsekwencje: po pierwsze, z faktu przynależności ziem polskich do carskiej Rosji nie wynikały żadne skutki dla Polski; po drugie, o ustaleniu statusu danego kraju czy narodu rozstrzygała wola zainteresowanej ludności, a więc było to praktyczne uznanie prawa narodów do samookreślenia.

„Deklaracja Praw Narodów Rosji” proklamowała z kolei równość i suwerenność narodów Rosji ich prawo do swobodnego samookreślenia się, aż do oderwania i utworzenia niepodległego państwa. Znosiła wszelkie narodowe i

Dokończenie na str. 10

Aromat „hawany”

PODOBNO przysłowia są nie tyle mądrością narodów, co ubogich duchem, niemniej upieram się, że głębi sens ludzkiego doświadczenia kryje powiedzenie o skorupce, która za młodu nasiąka jakimś tam zapaszkiem i po latach ciągle nim trąci. Moczy się człowiek w różnych kąpielach historycznych, nacierany bywa szarym mydłem przez polityków, chętnie stosuje coraz to mocniejsze dezodoranty cywilizacji, by nagle ze zdumieniem stwierdzić, w sprzyjających okolicznościach, że nadal trąci. Najciekawsze, że fakt ten nie irytuje delikwenta, przeciwnie — pobudza w nim uczucie słodkiej melancholii, może nawet tęsknoty za przeszłością, do której zniechęcała przecież człowieka szkoła absolutnie postępową, kompromitująca stare w imię nowego.

Ze mną podobnie. Np. Kuba — nazwa tego kraju kojarzy mi się oczywiście z rewolucją, Fidelem Castro, Che Guevarą, inwazją w Zatoce Świń, ale równocześnie, wstyd przyznać, że słynnymi cygarami hawańskimi, których przecież nigdy nie kurzyłem! Ale cóż, na biurku ojca stało kiedyś pudełko po tych skrętach, jaśniejące złotem, czerwienią i błękitem, a poza tym często się wtedy słyszało, że Kuba to rum, cukier i „hawana”. Nieco później pan Gniatkowski wbił w głowy mojego pokolenia, że Kuba to wyspa gorąca, pełna słońca i uciech różnych. Nasiąkałem za młodu, więc trącę po pięćdziesiątce. Proszę sobie jednak wyobrazić, że taką właśnie Kutę znalazłem na wystawie 110 grafik z tego kraju, czynnej w lutym w „Zachęcie”!

Wybrane z kolekcji Muzeum Narodowego w Hawanie, prace te powstały w okresie od XVII do XX stulecia, stanowią ciekawy materiał porównawczy.

Ekspozycję otwierał drzeworyt Jacoba van Meursa (1619—1680), przedstawiający wielki port z licznymi żaglowcami, na którego obrzeżach pyszniły się imponujące budowle o cechach architektury europejskiej. Jak jednak w katalogu wystawy przypominał Alejandro G. Alonso, to miejsce wyglądało wtedy zupełnie inaczej, a tylko za sprawą reklamowych intencji grafika port w Hawanie stał się pomnikiem rozwiniętej cywilizacji.

Późniejsze drzeworyty i litografie pejzażowe nie odbiegają już co prawda od realiów topograficznych, ale nieodmiennie utrzymane są w poetyce apoteozy. Dziełom Federa Mialhe, Adolfa Hoeflera, Eduarda Laplante czy Leonarda Baranano to w istocie modele jakiejś podzwrotnikowej Arkadii, gdzie dumne góry przegładają się w lustrzanych taflach morza, a bujna roślinność stanowi ozdobę ramy dla ludzkiej pracy i zabawy. Zresztą liczna seria takich widoków nosi tytuł „Malownicza wyspa Kuba”.

Jeśli już mowa o pracy, to zwróćmy uwagę, że robotnicy na plantacji kawy stanowią tylko dodatek, sztafaż pięknego krajobrazu, choć wiadomo z historii, w jakich warunkach tyralli ci ludzie, zwykle przeciętne — czarni niewolnicy. A tu tymczasem poruszają się niespiesznie,

drobne postacie, w kompozycji pt. „Malownicza wyspa...”. Rajem trąci też litografia z motywem cukrowni „Acóna”: smukłe palmy tańczą wokół schludnych zabudowań produkcyjnych, na pierwszym planie pyka sobie parowóz, a stojące obok towarzysztwo demonstruje dobre samopoczucie, jak na właścicieli (?) przystało.

Zródła tych mitologizujących zabiegów są przecież oczywiste, bo te dawne grafiki produkowano z powodów komercyjno-propagandowych. Ich autorom płacono za pochwałę życia na Kubie, a nie za głoszenie prawdy, pełnej prawdy o tym życiu. Docierały te obrazki do Europy, reprodukowane też były w polskich czasopiśmie i książkach, no i w końcu ukształtował się wizualny syndrom kubański, w czasach mojej młodości wzmianki jeszcze na sposób akustyczny przez pana Gniatkowskiego.

Więc u poniektórych skorupka nasiąkała i wzrusza się dzisiaj — nie tyle może z powodu Kuby jako takiej, co za sprawą kubańskiego znaku własnej młodości.

Poza tym owe grafiki są ładne jak precjoza spod ręki starych rzemieślników. Można je oglądać, czytać, smakować szczegóły litograficznej roboty. Powstałe w celach użytkowych, lekko i pewnie wskoczyły w rejony sztuki wysokiej i nikt już nie jest w stanie ich stamtąd wyeksmitować.

Podobnie z etykietami na papierosy i cygara, których niewielką, lecz reprezentatywną kolekcję pokazał Kubańczyk w „Zachęcie”. Migoce to złotem i czerwienią, wabi różnymi uciechnymi scenkami rodzajowymi, albo wymusza sztuczną powagę pompatycznością przedstawień.

Prekursorem takiej grafiki był Francisco Javier Baez (1746—1828), którego dziełka, zwykle o treści religijnej, zdobiły tarcze rycerskie, pudełka od papierosów, etykiety lub ekslibrisy.

Może, gdyby tak mocniej pociągnąć, w aromacie współczesnych cygar kubańskich poczułoby się kadzidło...

Schyłek XIX i początek XX wieku to regres i zanik grafiki na wyspie. Tylko Stowarzyszenie Grafików Kubańskich, istniejące w latach pięćdziesiątych, z powodzeniem uprawiało drzeworyt.

Odrodzenie tej sztuki nastąpiło po rewolucji, kiedy to powstał (1962) Eksperymentalny Warsztat Grafiki w Hawanie.

Współczesne litografie, serigrafie czy drzeworyty artystów kubańskich kryją swoją specyfikę narodową pod kostiumem międzynarodowych tendencji w sztuce. Zauważenie ich odrębności wymaga pewnego wysiłku, bo doprawdy niewielu grafików zechciało wyciągnąć wnioski z lekcji Wilfredo Lama (1902—1982), inspirowanego światem mitów, magii, folklorem murzyńskim Antyli.

I dlatego też z większym przejęciem oglądałem w „Zachęcie” ryciny dawne, choćby z cyklu „Malownicza wyspa Kuba”.

Może znaleźć jednak okazję, by dłużej porozmawiać ze znakomitymi dziełami takich współczesnych artystów tego kraju, jak Alfredo Sosabravo, Juan Moreira, Tomas Sanchez czy Humberto Castro (zresztą laureat jednej z nagród I Triennale „Przeciw Wojnie” na Majdanku 1985).

IJK

Nagroda Autorska im. Andrzeja Burdy

ODDZIAŁ Lubelski Stowarzyszenia Autorów Polskich — przy poparciu Wojewódzkiego Funduszu Rozwoju Kultury w Lublinie oraz Lubelskiego Towarzystwa Przyjaciół Prasy, Radia i Telewizji — ustanawia doroczną Nagrodę Autorską im. Andrzeja Burdy, która będzie przyznawana w dwóch równorzędnych kategoriach: książki naukowej i popularnonaukowej; książki publicystycznej i literackiej.

W każdej kategorii Nagroda przyznawana będzie przemienne, co drugi rok, począwszy od 1983 r.

Nagrodę ustanawia się w intencji upamiętnienia postaci i dorobku prof. Andrzeja Burdy (1913—1987), członka Stowarzyszenia Autorów Polskich, wybitnego uczonego i publicysty, działacza politycznego i społecznego, który będąc człowiekiem prawym i odważnym, głęboko uwrażliwionym na los Polski, w życiu i twórczości nieodmiennie kierował się ideami socjalistycznego humanizmu. Równorzędnym celem Nagrody jest pobudzenie takiej ambitnej twórczości naukowej, popularnonaukowej, publicystycznej i literackiej, która spełniałaby rudymentarne wartości intelektualnej, moralnej i obywatelskiej postawy Patrona.

Wysokość Nagrody ustala się na 150 000 zł w każdej z dwu kategorii. Kwoty przeznaczone na Nagrodę w obu kategoriach nie mogą być podzielone na premie niższe, np. równorzędne. [...]

Nagroda w obu kategoriach: książki naukowej i popularnonaukowej oraz książki publicystycznej i literackiej przyznawana będzie za prace wydane w dwóch latach kalendarzowych poprzedzających termin wręczenia Nagrody, który ustala się na 19 listopada (dzień urodzin Patrona Nagrody).

O Nagrodę może ubiegać się każdy autor mieszkający na terenie województwa lubelskiego oraz wszyscy członkowie Oddziału Lubelskiego SAP, bez względu na miejsce zamieszkania.

Wnioski o przyznanie Nagrody, zaopatrzone w dwa egzemplarze proponowanego tytułu, składać mogą sami autorzy lub związki twórcze, instytucje i organizacje — w terminie do 30 września danego roku (obowiązuje data stempla pocztowego), pod adresem: Oddział Lubelski Stowarzyszenia Autorów Polskich, ul. Weteranów 18, 20-038 Lublin.

Jury Nagrody Autorskiej, w składzie nie mniejszym niż pięć osób, powołuje na okres dwóch lat Rada Oddziału Lubelskiego SAP. [...]

Przyjmuje się możliwość nie przyznania Nagrody w danym roku ze względu na niezadawalający poziom przedstawionych publikacji.

Rewolucje rosyjskie a sprawa polska

Dokończenie ze str. 9

religijne przywileje i ograniczenia, zapewniała swobodny rozwój wszystkich narodów, narodowości i grup etnicznych na terytorium byłego imperium rosyjskiego.

Władza radziecka nie poprzestała zresztą na potwierdzeniu swego stanowiska w kwestii narodowej. Nadała jej poważną rangę w praktyce, czego wyrazem było powołanie Ludowego Komisariatu do Spraw Narodowości. Było to pierwsze w świecie ministerstwo do spraw narodowości. W ramach tego komisariatu utworzono komisariaty narodowe, m. in. Komisariat do Spraw Polskich. Do jego zadań należało m. in.: „ochrona zaniedbanych praw narodowo-kulturalnych ludu polskiego w Rosji, opieka społeczno-państwowa nad rzeszami wygnanców, jeńców i żołnierzy polskich oraz niesienie pomocy instytucjom szerzej demokratycznym w ich pracy kulturalnej, społecznej i organizacyjnej”.

Wydarzeniem, które wzbudza do dziś wiele emocji, był traktat brzeski, podpisany przez Rosję Radziecką 3 III 1918 r. z państwami centralnymi. Rząd radziecki był zmuszony uznać m. in. władzę państw centralnych nad ziemiami okupowanymi przez ich armie, a więc i nad ziemiami polskimi. Uznał więc aneksję tych ziem, mimo że oficjalnie opowiadał się za pokojem bez aneksji. I właśnie ten fakt postu-

zył jako argument do postawienia zarzutu bolszewikom, że ich teoria różni się z praktyką.

To jednak poważne uproszczenie. Faktem niezaprzeczalnym jest bowiem, że traktat ten został Rosji narzucony. Ze władza radziecka znajdowała się w sytuacji bez wyjścia. Pokój był jej wówczas niezbędny do życia jak woda i powietrze. Tylko on stwarzał szansę przetrwania. I w tym kontekście należy traktat rozpatrywać oraz oceniać. Nie jest również tajemnicą, że Lenin traktował go od początku jako rozwiązanie przejściowe, mające na celu zapewnienie władzy radzieckiej niezbędnego czasu do wytępienia i umocnienia się. „W czasie wojny — mówił Lenin — nigdy nie wolno wiązać się względami formalnymi. Jest rzeczą śmieszną nie znać historii wojen i nie wiedzieć, że traktat jest środkiem gromadzenia sił”. Tak też się stało w rzeczywistości i w tym wypadku.

Lenin nie ukrywał też tego, że w ówczesnej sytuacji należy interes socjalizmu postawić ponad prawo narodów do samookreślenia. „W chwili obecnej — mówił — obiektywnie walczylibyśmy w imię wyzwolenia Polski, Litwy i Kurlandii. Ale żaden marksista, nie zrywając z zasadami socjalizmu i marksizmu w ogóle, nie zdoła zaprzeczyć, że interesy socjalizmu stoją wyżej niż interesy prawa narodów do samookreślenia. [...] Jeśli wytworzyła się taka konkretna sytuacja, iż istnienie republiki socjalistycznej narażone jest w danej chwili na niebezpieczeństwo

z powodu pogwałcenia prawa do samookreślenia kilku narodów (Polski, Litwy, Kurlandii i in.), to rozumie się, że interesy zachowania republiki socjalistycznej stoją wyżej...”. Było to szczerze postawienie sprawy.

Nie można zarzucić delegacji radzieckiej, że w trakcie rokowań nie pamiętała o sprawie polskiej. Faktem jest bowiem, że walczyła ona o dopuszczenie do rozmów także Polaków. Stała też na stanowisku, że o losach ziem polskich powinna wypowiedzieć się przede wszystkim ludność polska. Ciągle akcentowała, że strona radziecka „całkowicie i bez jakichkolwiek ograniczeń uznaje niezależność narodu polskiego i państwa polskiego”.

Traktat brzeski ograniczył możliwości wypowiedzenia się Rosji Radzieckiej w sprawie polskiej. Zrzekła się bowiem ona wszelkich praw do ziem polskich należących dotychczas do niej. Zobowiązała się też do rezygnacji z jakiegokolwiek wrogiej działalności przeciwko państwu centralnym. A za taką mogły one uznać poruszenie problemu polskiego. To milczenie zostało przerwane 29 VIII 1918 r., kiedy to Rada Komisarzy Ludowych uchwaliła dekret o anulowaniu traktatów rozbiorowych. Szczególnie ważny był artykuł trzeci tego dekretu, który stwierdzał: „wszystkie układy i akty zawarte przez rząd b. Cesarstwa Rosyjskiego z rządami Królestwa Pruskiego i Cesarstwa Austro-Węgierkiego, dotyczące rozbiorów Polski, zostają ze względu na ich sprzeczność z zasadą samookreślenia narodów i rewolucyjnym poczuciem prawnym narodu rosyjskiego, który uznał niezaprzeczone prawo narodu polskiego do niepodległości, zniesione niniejszym w sposób nieodwołalny”.

Mimo, że był to akt jednostronny, że konkretnie w tym okresie nie miał praktycznego wpływu na sytuację ziem polskich i narodu polskiego, będących pod okupacją państw centralnych, zna-

czenie tego dekretu było duże. Przyczynił się on przede wszystkim do stworzenia warunków sprzyjających powstaniu Polski niepodległej. Podważał prawny aspekt panowania niemieckiego i austriackiego nad ziemiami polskimi. Oznaczał potwierdzenie rezygnacji Rosji z praw do nich.

Kolejnym krokiem władzy radzieckiej w sprawie polskiej była uchwała Ogólnorosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego Rad z dnia 13 XI 1918 r. anulująca traktat brzeski. Jest ona przykładem szybkiej i taktycznej reakcji na kapitulację państw centralnych. Podobnie szybko rząd radziecki zareagował na fakt odradzenia się niepodległego państwa polskiego. Już w listopadzie 1918 r. zaproponował on władzom polskim nawiązanie stosunków dyplomatycznych, wymianę przedstawicieli i ustalenie stałej łączności pomiędzy Warszawą a Moskwą. Było to zapewne także umiejętnie posunięcie taktyczne. Przyjęcie tej propozycji przez stronę polską byłoby sporym sukcesem dyplomacji radzieckiej. Oznaczałoby uznanie przez Polskę de iure Rosji Radzieckiej, a tym samym przerwanie jej izolacji dyplomatycznej. Z tego też m. in. względu odpowiedź polska z 4 XII 1918 r. była wymijająca. Wydaje się, że takiej odpowiedzi należało oczekiwać: młode państwo polskie nie mogło się zdobyć na tak samodzielny krok, musiały się liczyć ze stanowiskiem sojuszników zachodnich, a te nie były zainteresowane w przerwanie izolacji Rosji Radzieckiej. Wpływ na odpowiedź polską wywarła również sprawa nieuregulowanej granicy polsko-radzieckiej. Stało się ona wkrótce przyczyną poważnego zaostrzenia się stosunków między obu państwami. Doprowadzi do wojny polsko-radzieckiej, zakończonej podpisaniem 18 III 1921 r. traktatu pokojowego w Rydze.

Leszek Piątkowski

Z dziejów starodawnnej Rusi

WKOŃCU ubiegłego roku ukazały się *Kroniki staroruskie* w wyborze i opracowaniu Franciszka Sielickiego. Jest to książka, która wyszła w bardzo stosownym czasie. Przypadające bowiem w bieżącym roku 1000-lecie chrystianizacji Rusi wywołuje nie tylko u nas duże zainteresowanie historią i dawną kulturą słowiańskiego Wschodu. O owym zainteresowaniu świadczy m. in. moda i popyt na ikony oraz swoisty renesans muzyki cerkiewnej, która wyszła obecnie poza mury świątyni prawosławnych.

Franciszek Sielicki, znany historyk literatury Uniwersytetu Wrocławskiego, jest autorem bardzo wielu prac naukowych dotyczących recepcji literatury rosyjskiej w Polsce, w tym także i literatury staroruskiej, którą naukowo opracowuje, tłumaczy, wydaje i kompetentnie komentuje. Owocem jego badań nad piśmiennictwem staroruskim jest również wspomniana książka *Kroniki staroruskie* oraz wydana wcześniej (1968) w całości, najważniejsza kronika staroruska, jaką jest *Powieść minionych lat*, sporządzona przez kijowskiego mnicha Nestora około 1113 roku.

Pod względem poznawczym dzieło Nestora jest najważniejszym zabytkiem piśmiennictwa staroruskiego. Ma ono wartość historyczną i literacką. Oprócz zapisów kronikarskich włączone zostały do *Powieści minionych lat* różne opowieści, które są odrębnymi utworami o charakterze literackim, jak na przykład *Zywoł Borysa i Gleba* lub *Pouczenie Włodzimierza Monomacha*. O znaczeniu dzieła Nestora tak pisze F. Sielicki we wstępie: „Trudno jest przecenić jego wartość, jaką ma dla Rosjan, Ukraińców i Białorusinów. Ale dużą wartość posiada również dla nauki krajów sąsiednich, zwłaszcza polskiej. Znana jest powszechnie opinia o prawdziwości tej kroniki, czym tak korzystnie wyróżnia się ona spośród innych średniowiecznych annałów. [...] Nie brak i jej fantastycznych upiększeń, jednak przeważnie nie są one zmyśleniem kronikarza, tylko przytoczeniem zasłyszanego źródła”.

Na treść *Kronik staroruskich* składa się *Powieść minionych lat*, zamieszczona z niewielkimi skrótami, oraz wybrane fragmenty trzech innych kronik — *Latopisu kijowskiego*, obejmującego lata 1118—1198, *Latopisu halicko-wołyńskiego*, rejestrującego wydarzenia z lat 1201—1292, i wreszcie tzw. *Latopisu hustyńskiego*. To ostatnie dzieło nieznanego autora — jak podaje F. Sielicki — jest kompilacją *Powieści minionych lat*, wymienionych wyżej późniejszych latopisów oraz napisanej w XVI wieku polskiej *Kroniki wszystkiego świata* Marcina Bielskiego.

Na uwagę zasługuje fakt, iż F. Sielicki włączył do omawianej książki fragmenty poruszające sprawy polskie. W tych przypadkach przypisy autora opracowania są znacznie bardziej szczegółowe, informują o postaciach i wydarzeniach z historii Polski, które odzwierciedliły się w staroruskich latopisach. Dzięki temu książka staje się bardziej interesująca dla szerszego kręgu czytelników. Wartość owych latopisów docenili zresztą już wcześniej polscy dziejopisarze — Długosz, Bielski, Strykowski i Naruszewicz, którzy sięgali do nich jako ważnego źródła historycznego.

Powieść minionych lat nie da się niczym zastąpić jako źródło wiadomości o dziejach najdawniejszej Rusi — o jej pierwszych władcach, o wprowadzeniu chrześcijaństwa w roku 988, walkach bratobójczych między książętami, o prowadzonych wojnach z sąsiadami. Są tu również częste wzmianki o stosunkach Rusi z „Lachami”, czyli pierwszymi piastowskimi władcami Polski. Obszerniejsze ustępy poświęcono wyprawie Bolesława Chrobrego na Kijów, wojnie książąt Jarosława i Mściława z Polską w roku 1031 oraz wyprawie Bolesława Śmiałego do Kijowa w roku 1069.

Latopis halicko-wołyński zawiera obszerniejsze zapisy dotyczące stosunków książąt ruskich z Leszkiem Białym i księciem Konradem Mazowieckim, zawiera też informacje o najeździe Tatarów na ziemie polskie w roku 1259, zniszczeniu Lublina, Zawichostu i Sandomierza oraz o dziejach Przemyśla i Chełma w późnym średniowieczu. Z *Latopisu hustyńskiego* (nazwa wzięta od klasztoru hustyńskiego na ziemi połtawskiej, gdzie zabytek ten został odnaleziony) F. Sielicki włączył do książki tylko nieliczne fragmenty dotyczące dziejów Polski w XVI wieku — początków Kozaczyzny, stosunków Zygmunta Starego z Moskwą i Tatarami, wprowadzenia kalendarza gregoriańskiego w roku 1582 oraz zawarcia unii brzeskiej w 1596 r.

Klarowny, niezbyt obszerny i „nie przenaukowiony” wstęp F. Sielickiego właściwie informuje o autorstwie, chronologii i miejscu powstania latopisów oraz o ich spożytkowaniu przez polską historiografię. Zaletą książki jest dobry przekład tekstów (pióra Edwarda Goranina, Franciszka Sielickiego i Henryka Suszki), dokonany dyskretnie, niekiedy archaizowany, ale dobrą współczesną polszczyzną. PIW starannie ową książkę wydał, a nawet zaopatrzył w osiem kolorowych ilustracji (niestety, nie najwyższej jakości reprodukcje). I jeśli tylko nie odstraszy „drugoetapoworeformowa” cena książki, to z pewnością znajdzie ona wielu czytelników w czasie tak wyraźnie zwiększonego obecnie w Polsce zainteresowania burzliwymi, i wieloma niemi powiązanymi z naszą historią, dziełami wschodniej Słowiańszczyzny oraz jej kulturowym dziedzictwem.

Jan Orłowski

Kroniki staroruskie. Wybrał, wstępem i przypisami opatrzył Franciszek Sielicki. Przekład Edw. Goranin, Franciszek Sielicki i Henryk Suszko, PIW, Warszawa 1987, cena 800 zł, ss. 292.

Muzyka młodzieżowa

Jak Walery Leontiew robił karierę

WALERY LEONTIEW uchodzi za absolutnego idola radzieckiej młodzieży. Podziwia się go za warsztat i przebojowy repertuar, wykonywany wręcz brawurowo. Mimo niewatolnych ataków piosenkarza nie ustają spory wokół jego postaci. Starszych odbiorców drażni, doprowadzając niekiedy do śmiech, wygląd i styl artysty. Pojawiają się więc krytyczne recenzje, zalecające Leontiewowi, by przestał być estradowa kukła i zdecydował się na bardziej przyzwoity repertuar. Na szczęście solista wie, co robi, i nie zamierza zmieniać stylu ani szokującego wyglądu.

Gdyby zapytać Walerego o miejsce pochodzenia, nie potrafiłby udzielić jednoznacznej odpowiedzi. W wiosce na dalekiej północy ZSRR, gdzie się urodził, spędził zaledwie dwa tygodnie. Później ruszył z rodziną w dalszą wędrówkę. Skłaniał do niej zawód ojca — zootechnika zajmującego się hodowlą reniferów. Stada tych zwierząt koczowały na ogromnych przestrzeniach, a ojciec Walerego musiał tam docierać. Nikt w rodzinie nie sadził, że pierwotny syn stanie się kiedyś sławny. Początkowo pomagał rodzicom przy hodowli renów. Później próbował szczęścia w różnych profesjach — murarza, pracownika tkalni i cegielni. Po długich wędrówkach trafił do domu kultury, gdzie akurat poszukiwano elektryka.

Walery był młodzieńcem ambitnym. Podjął więc intensywną naukę aż w trzech dziedzinach — teatru, tańca i piosenki. Musiał być zdolny, skoro został jednym z laureatów republikańskiego prześlądu młodych talentów wokalnych w autonomicznej republice Komi. Stamtąd razem z innymi laureatami wysłano go na kurs estradowy do Moskwy. Już wtedy Leontiew czuł, że chwycił wielką szansę, której nie można zaprzepaścić. Szczęście jednak na ostrym koniu jeździ. W tłumie równie uzdolnionych kandydatów na piosenkarzy trudno było mu się przebić, odnaleźć własny styl. Kiedy po roku forsownej nauki śpiewu otrzymał uprawnienie zawodowe, nie czuł się jeszcze profesjonalistą. Stąd też pierwsze koncerty Walerego odbywały się w miejscach, gdzie diabeł mówi dobranoc. Śpiewał w głuchej prowincji dla geologów, naftiarzy, pasterzy reniferowych stad i budowniczych syberyjskiej linii kolejowej.

Trudności debiutanckiego okresu zahartowały piosenkarza, pozwoliły mu trzeźwo spojrzeć na możliwość osiągnięcia poziomu, uprawniającego do współzawodnictwa o sławę i zaszczyty. Pierwszy sukces odniósł zupełnie nieoczekiwanie w 1979 roku. Na własne ryzyko wybrał się do Jajty, gdzie odbywał się Wszechzwiązkowy Konkurs Piosenki. I choć nikt go tam nie znał, ani nie obiecał tak innym faworytów, właśnie jemu przypadła pierwsza nagroda. Wraz z nią przysłała pomoc zawodowych kompozytorów, dopatrujących się w Leontiewie kandydata na gwiazdora estrady. Dużej pomocy udzielił mu Dawid Tuchmanow, którego piosenka pozwoliła Waleremu sięgnąć po laur Złotego Orfeusza na międzynarodowym festiwalu w Słonecznym Brzegu.

Zdawało się, że po takim wyczynie sale koncertowe stana przed Leontiewem otworem. Niestety, dziwaczne kostiumy, długie włosy i ekspresywny styl interpretacji wywołały fale krytyki prasowej, w której oskarżano piosenkarza o bezzwłoczne powielanie amerykańskich wzorów, nadmierną egzaltację, manieryzm, a nawet wulgarność. Na

szczęście znaleźli się ludzie, którzy chcieli słuchać Walerego, dostrzegając inne cechy wykonawcy, m. in. wrażliwość, delikatność i muzykalność.

Dziś zastrzeżenia, wysuwane w poprzednich latach, mocno zbladły. Radio i telewizja często nadają piosenki Leontiewa, a on sam nie jest w stanie przyjąć wszystkich ofert koncertowych. Chca go słuchać w republi-



kach nadbałtyckich Kraju Rad. w Gruzji i Władywostoku. Walery jest częstym gościem telewizyjnych programów rozrywkowych, w których występuje w towarzystwie tancerzy i znakomitego zespołu muzycznego. Każda emisja takiego programu wywołuje lawinę listów. Młodzi fani są wprost oczarowani talentem idola. Jego pomysłowością, umiejętnością poruszania się i fantazyjnie dobranymi strojami.

— Do osiągnięcia powodzenia na estradzie niezbędne jest uświadomienie sobie własnych niedostatków i słabości — mówi piosenkarz. — Ważny jest cel i wiara w jego osiągnięcie. Kto poddaje się chwilowym wątpliwościom lub krytycznym głosom wysnuwanym pod jego adresem, ten nie ma co szukać na scenie. Ja akurat mocno wierzyłem w możliwość zdobycia profesjonalnych szlifów i nawet w najtrudniejszych chwilach nie zalałem się. Pamiętam, ile kontrowersji wywołały moje kostiumy. Nikt ich nie chciał mi uszyć. Musiałem sam nauczyć się szycia i kroju. Teraz stroje estradowe projektuje mi profesjonalna plastyczka Irina Jajszewa. Marzy mi się stworzenie teatru piosenki, gdzie mógłbym wystawić spektakl muzyczny o *Giordano Bruno*, o sile ludzkiej myśli i wierności ideałom. Chciałbym też posiadać własne studio nagrania. Być może kiedyś je zdobędę.

Istvan Grabowski

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (sprawy literackie), Ireneusz J. Kamiński, Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraća materiałów nie wspomnianych zastrzeżenia o sobie prawo skrótów.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne „KWN” w Lublinie ul. Unicka 4

Wydawca: Robotnicze spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jajna 6 tel. 255-30

Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowska 21

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-03, sekretarz redakcji 215-03, dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem:

20-990 Lublin skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Złamany „Łuk”

JERZY Domaradzki należy do reżyserów, którym nie można odmówić prawdziwych zdolności i talentu, ale którzy ciągną swą artystyczną nią w sposób zaskakująco nierówny.

Jeden z niedzisiejszych młodych entuzjastów kina moralnego niepokoju, współautor (wraz z Agnieszką Holland i Pawłem Kędzierskim) nowelowego filmu „Zdjęcia próbne” ma w swoim dorobku tak ciekawe filmy dokumentalne jak „Tramwajem przez San Francisco” czy fabularny, niezwykle ambitny i doskonale zrobiony „Wielki bieg”, ale zarazem tak słabe pozycje, jak „Planeta Krawiec”, czy wcześniejsza jeszcze „Bestia”. Po zrealizowanym z prawdziwą maestrią telewizyjnym serialu „Trzy młyny” w opowiadaniu Iwazkiewicza, barzo przeciętny: „Białe smoki”. A teraz — „Łuk Erosa”, wobec którego recenzent staje chwilami bezsilny: tak jest tu wszystko przemierzane: ciekawe zarysowanie głównego tematu filmu, z rozkładaniem go później na ekranie dramaturgią całej opowieści; piękne kostiumy, doskonale chwilałami zdjęcia „mocne”, lecz nie bez dużej kultury zrobione sceny erotyczne; i na chwile — odcinki ekranowej pustki, wręcz nie do wytrzymania...

Alści na film wala tłumy. A to — tak należy sędzić — właśnie z uwagi na owe całkiem niekonwencjonalne miłosne „przerwy” jakich spragniony polski widz, ten nie posiadający dostępu do video, ani uświadczony na „Betty Blue” czy „Blue velvet”, nie mówiąc już o żalosnej „Różowej serii”, prezentowanej przy wielkim krzyku i biciu w bębny, na ekranach telewizyjnych.

O co właściwie Domaradzkiemu chodziło, gdy przystępował do realizacji tego filmu? Do tej opowieści opartej „na motywach” książki Juliusza Kadena-Bandrowskiego „Łuk”, która narobiła tyle hałasu w roku 1919? Twierdzi, że chciał odmitologizować, zakorzeniony w naszej literaturze i w naszej narodowej świadomości, obraz Matki-Polki; że pragnął ukazać proces wyzwolenia się kobiety spod dominacji mężczyzny, zachodzący w jakże nietypowych, okrutnych warunkach wojennych, przynoszących zagładę do-

tychczas uznawanych wartości moralnych i etycznych. I w ogóle — skutki odciskane przez wojnę na oświecenie i mentalność ustabilizowanego dotąd, i — wydawałoby się — niewzruszonego w wyznawanych przez siebie zasadach, społeczeństwa. A wszystko to na tle I wojny światowej, zupełnie innej od dotychczasowych — nie pozabawionych



Grażyna Trela i Jerzy Stuhr w „Łuku Erosa”

elementu romantyzmu — wojen dziewiętnastowiecznych.

Bardzo to słuszne, tylko po co akurat sięgać do Kadenskowskiego „Łuku”, książki, która stała się w początkach polskiej niepodległości skandalem; jednakowoż — nie tylko ze względu na niekonwencjonalnie ukazany wewnętrzny obraz bohaterki, nie tylko z uwagi na liczne zawarte w powieści „śmiały” sceny erotyczne, ujęte w sposób graniczny z naturalizmem? „Łuk” był wszak zarazem powieścią w swoim rodzaju polityczną, nader wyraźnie nawiązującą do problemów patriotycznych i narodowowyzwoleńczych Polaków, do rozrywki politycznych trawiających w latach I wojny społecz-

stwo krakowskie Wiece! — był „Łuk” książką demaskatorską, w sposób przejrzyście aluzyjny (dla ludzi z tamtej epoki) ukazująca postawy i motywy postępowania wielu autentycznie istniejących, znanych krakowskich osobistości. Taką zresztą był zawyżony Kaden-Bandrowski w swoich najbar dzieł znanych książkach, że wspomni my choćby tylko „Generała Barcza”.

„Łuk Erosa” to opowieść o wojennych losach Maryśki Miechowskiej (Grażyna Trela), młodej kobiety ze sfer inteligentek, pozostawionej nagłe bez męskiego oparcia; ukochany mąż, który poszedł do Legionów i po kilku miesiącach zniknął, został uznany za zaginionego. Młoda, atrakcyjna męzka, na pół-wdowa, stała się w miarę szybko „lupem” dawnego uniwersyteckiego współpracownika jej męża (Je-

nych bezbezpiecznie na twiach — znanych cywilów. Nawiasem mówiąc, właśnie owe szampańskie zabawy „de erantie zatracenia” są w „Łuku Erosa” zrealizowane w sposób wyjątkowo nudny i ślamazarny. Finalnie następuje w eleganckim szantanie, gdzie bohaterka, przydominająca nieco Lize Minelli ze słynnego „Kabaretu” (tyle, że to była inna epoka), wykonuje piosenkę, wywołując — zdaniem reżysera — entuzjastyczny widowni I oto wówczas, pojawia się, niczym deus ex machina — zatłoczony mąż!

Wszystko mógłbym jeszcze znieść w „Łuku Erosa”, gdyby nie owe melodramatyczne, jak z taniego romansu, zakończenie! Nawet Jerzego Stuhra w roli demonicznego kochanka erotomania zniósłbym bez szemrania.

„Film nie jest właściwą metodą nauczania historii — powiedział m.in. Jerzy Domaradzki w wywiadzie udzielonym „Przebiegowi Tygodniowemu” — [...] Gdybym siedział na całość, musiałbym wyjaśnić rozdarcie pomiędzy trzech zaborców, sprawę legionów, różnicowanie Polaków wobec trw. czynu niepodległościowego i lokalizmu wobec Austrii, konfliktów między Piłsudskim a NKN na tle odmiennego rozumienia drogi prowadzących do niepodległości, różnic między I a II Brygadą, a jeszcze socjaliści, a jeszcze konserwatyści, a jeszcze przebieg I wojny światowej... Jak miałem to znieść, by film był zrozumiały? Dać na zakończenie wykaz poleceń bibliografii?”

Myślę, że sprawa jest o wiele mniej złożona. Otóż po prostu Domaradzki nie powinien się być odwoływać w swym filmie do Kadena-Bandrowskiego (choćby tylko ubezpieczając się w czołówce filmu informacją iż powstał on „na motywach” książki „Łuk”). Duże kobieca mógł penetrować reżyser równie dobrze bez wypreparowywania odpowiadającego mu tematu z powieści wybitnego pisarza, a tworząc, do prostu, oryginalny scenariusz. I krejąc dobry, erotyczny, obliczony na szerokiego widza, czyli na „kasę” (a teścił jeszcze przy tym „psychologicznie pogłębiony”, to tym lepiej) — film, i niech on by sobie był umiejscowiony w epoce kamienia łupanego, w okresie wspólnoty pierwotnej, w czasach pierwszych Piastów, wojen napoleońskich, czy też pierwszej wojny światowej, z finałem podczas zakończenia drugiej wojny, również światowej! Tylko po co koniecznie, a to jest nasza polska filmowa specjalność, nawiązywać do literatury, gdy w istocie chodziło (jak chyba słusznie sadze?) o ukazanie zupełnie innej, niż literacka, strony medalu...

M.D.

Krzyżówka nr 6 z szyfrem

Poziomo: A. obrzęd uznania za pełnoletniego w niektórych wyznaniach chrześcijańskich ■ znany polski poeta, twórca słynnych fraszek, C. często mylona z wygraną rzeczą ■ element oczyszczalni ścieków ■ rolnik — teoretyk, E. współtwórca silnego kolarstwa polskiego ■ setna część złotego ■ popularne małe śledzie ■ korzystny na coś czas, F. eksponat ■ święte miasto muzułmańskie ■ skórzana na loklach swetra, G. ryba najlepsza w śmietanie ■ surowiec na gicz, H. polecenie wypłaty ■ sąsiedzi zza Sudetów ■ strój sędziego, I. drobne cząsteczki fluszczy w osoczu krwi ■ karma dla zwierząt ■ w kuchni do siekania ■ w delcie Wisły, K. studiuję to, co chińskie ■ płaszcz — namiot ■ wczesny kwiat, M. miasto radzieckie na północ od woj. olsztyńskiego ■ wpłata na książkę, która dopiero ma być.

Pionowo: 1. film o Powstaniu Warszawskim ■ polski XVII-wieczny pamiętnikarz, 2. konie czyściej krwi, 4. komedia z gagami ■ mierzą mniej więcej odległość, 5. tworzą szkielec, 7. ostatnia duża książka Andrzejewskiego ■ spóźniony kontynuator, 8. płynąca woda, 9. przedłuża je lysina ■ mył się tylko raz, 10. łączy pana z psem, 11. współplemieńcy Winetou ■ przedsiębiorstwo, 13. współczesny Konwiktorek ■ stan prawny, sytuacja społeczna, 14. wchodzi w skład Wielkiej Brytanii, 15. taryfa ■ pierwsza polska powojenna komedia filmowa, 16. deszczowa pogoda, 17. jedna z muz ■ głośne zawołanie pokazujące uczucie, 19. autorka „Witaj smutku”, 20. poemat Gałczyńskiego ■ góra bogów, 22. drugie jezioro Europy, 23. lotowy solenizant ■ powieść W. Wasilewskiej.

SZYFR

G3. C2. D7 / C13. P14 / M20. E22. I9. A15. C19. F9. M5. K14. L13 / H18. C7. G23. H10. A14. M19. D9 / 11. B14. A22. C19 / C17 / A1. H17. I23. C15. G4 /

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
A																							
B																							
C																							
D																							
E																							
F																							
G																							
H																							
I																							
J																							
K																							
L																							
M																							

G5. A7. C14. F17. I3. G11 / K1. K20. J23 / M11. A2 / E1. G8. H11 /

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań, rozlosujemy bon książkowy wartości 1000 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z SZYFREM

Poziomo: kaseton, ostrość, ślepiec, szeląg, igraszka, zdun, kornia, Tula, Kanada, insekt, sura, lecja, Zory, psan, Oslo, kawa, proch, oset, kłaczka, emalia, Baka, wał, swat, interwał, rzeszoto, alkaas, szepka, cytryna.

Pionowo: Krezus, kobyła, Zukrowski, eden, Anna, oda, areal, era, wydawnictwo, szakal, Pawłów, Rzym, cia, lato, świnia, Henryk, Arystofanes, los, kilki, Zły, psak, ster, autorstwo, chrapy, Tetyda.

Szyfr

Kobieta ma w styczniu tylko jedno poważne zadanie: ohudnąć.

Jadwiga Grabowska

projektantka motywu

cyfrowana przez KTT („Polityka” Nr 2)

Nagrode wylosowała Filomena Miłkowska, ul. Strzelców 17 m. 26, 31-422 Kraków.